



Z ZAKOPANEGO

NA TRASY III TURYSTYCZNEGO RAIDU NARCIARSKIEGO PTTK WYRUSZY 3000 NARCIARZY, KTÓRZY WEZMĄ UDZIAŁ W PIERWSZEJ TEGO RODZAJU MASOWEJ IMPREZIE, ZORGANIZOWANEJ NA TERENACH BESKIDU MAŁEGO, WYSOKIEGO I ŚLĄSKIEGO. RAID ROZPOCZNIE SIĘ 2 LUTEGO BR. (FOT. „ŚWIAT” — W. SŁAWNY)

JESIENIĄ roku ubiegłego byłem w grupie literatów na Warmii i Mazurach. Po gorącym i serdecznym przyjęciu, jakie nam zgotowała młodzież szkolna w Szczytnie, rozproszyliśmy się po okolicy. Nie wypadło mi jechać daleko: „moja” wieś leżała kilka kilometrów za Szczytnem, przy samej szosie. Pojechaliśmy...

Zapadał wczesny, jakby wcześniejszy nad tą ziemią zmierzch.

W tym zmierzchu uderzył kontrast: wysokie żelazne konstrukcje dźwigające przewody elektryczne i ciemność w oknach chałup. Weszliśmy do sołtysa, błysnął płomień zapalniczki i żółto, wątle zapłonęła lampa naftowa. Gdy zebrali się ludzie ze wsi i potoczyła się rozmowa, na początku trudna i chropawa, jak to jeszcze bywa między ludźmi z miasta i ludźmi ze wsi, ten wątle płomyk naftowy, więcej, zda się, cieni niż światła rzucający na izbę, nasunął pierwszy życiowy temat.

— A dlaczego to u was nie ma elektryczności? Linię macie pod bokiem.

Odpowiedź padła z kilku stron na raz:

— Podania składaliśmy, ale transformatora nie ma.

Ba! Przywieźliśmy paczkę książek, ale o transformatorze nie pomyśleliśmy. Wątpię zresztą, czy można tak wejść do sklepu i poprosić o zapakowanie takiego przyrządu. Rozłożyliśmy bezzadnie ręce, a tu synęło się:

— Za książki serdecznie dziękujemy, ale jak tu je czytać, kiedy czas tylko wieczorem, a tu przy lampce oczy się kleją... Gazety też nie bardzo czytamy, bo ciemno... I bez tej elektryczności dzieci jakoś dziko żyją...

Tak właśnie — dokładnie pamiętam — powiedział jeden z chłopów: „dzieci dziko żyją”.

Wiemy dlaczego tak jeszcze dzieje się w tej i w wielu innych wsiach polskich. Nie od razu Kraków zbudowano — powiada przysłowie. Nie od razu Polskę zelektryfikowano — można powiedzieć dzisiaj. Chociaż — dodać trzeba — bardzo się spieszone. O tym właśnie mówiliśmy. O ile tempo elektryfikacji dziś przewyższa tempo (pożał się Boże, co to było za tempo, raczej tępo) przedwojenne, że nie można wszystkiego wszędzie zrobić od razu, gdy ma się rozpraszać mroki i zaniedbania wieków.

MÓWILIŚMY prawdę i byliśmy zrozumiani, ale mimo to, ten prąd płynący sto - dwieście metrów od izby, ciemnej i ponurej — to było coś bardzo denerwującego. Prąd, który omijał wieś przy szosie i biegł dalej do wsi następnej, gdzie sprawiał, że radio grało i gadało, że ludzie czytać mogli książki i gazety, i dzieci już nie dziczyły. No, ale co na to było poradzić...

Aliści sprawa nieszczęsnego transformatora wrócić miała do

rozmowy i to w zupełnie niespodziewany sposób. Zeszło mianowicie na sprawę hodowli świń i okazało się, że z tą hodowlą nie-dobrze. Nawet nie potrafię już powtórzyć dlaczego. Jeden chłop tłumaczył się, że prosiaki raz mu pochorowały i zniechęcił się. Energiczna gospodyni jakieś inne argumenty wysuwała, gdy właśnie niby bez żadnego związku z prosiakami wróciła ta żywotna i bolesna kwestia:

— A transformator?

Wszyscy poruszyli się.

— A co transformator?

Widać było, że któreś z nas z Warszawy wymyśliło chyba sposób, by na przekór tym tam planom przyspieszyć sprawę elektryfikacji ich wsi. A my z powrotem do tych świń:

— Więc świń nie chowacie?

— No nie.

— A transformator?

Co świniom mają wspólnego z transformatorem — to jeszcze nie było takie jasne.

— No, a ci ludzie w mieście, w fabryce, robotnicy, co robią te transformatory — to muszą jeść? Nie? Powiedźcie no, obywatele chłopci.

— Ano, muszą.

— A taka słonina, a boczek, a kotlet wieprzowy sił dodaje do roboty, czy nie dodaje?

Już się śmieli, głowami kiwali. Szli myślą razem z naszą myślą: że to nieładnie, o transformator się upominają, a tym, co transformatory robią, kilograma sadła nie dali.

— To już jakbyśmy sami sobie tego transformatora w chlewie nie wyhodowali i nie utuczyl. Toście nam chcieli powiedzieć?

— Wyście sami powiedzieli, ale na wasze wychodzi.

Taka to była rozmowa przy lampce naftowej o transformatorach w chlewach hodowlanych.

O CZYWIŚCIE, w skali całego państwa, w skali ogromu naszej produkcji, konieczności jej wzrostu, rozwoju produkcji rolnej chodzi nie tylko o jedną wieś, o jedną fabrykę transformatorów, czy o jeden transformator. Ale przecież i ta sama wieś nie ogranicza swych potrzeb do elektryfikacji. Przeciwnie — od niej zaczyna całą masę potrzeb innych.

Państwo ludowe rozwija się i rośnie tą więzią miasta ze wsią. Zacieśnianie tej więzi, dbanie o to, by nikt jej nie zrywał, nie targał, nie zaplątywał w supły kułackiego wyzysku, spekulacji i wzajemnej wrogości czy choćby niezrozumienia — to trudne zadania. Regulacja cen i zwykła płac stanowi krok naprzód w rozwiązywaniu tych trudnych zagadnień. A chodzi o tę samą prostą sprawę, którą nazwaliśmy sprawą „transformator-nierogaczna”, o związek, jaki istnieje między jednym i drugim.

JAN SZELAĞ



Wojciech Fangor: „Lenin w Poroninie”.

W środę 21 stycznia 1924 roku zmarł wódz rewolucji rosyjskiej i wielki przyjaciel narodu polskiego, Włodzimierz Lenin. „Zachowajcie Iljicza w pamięci, kochajcie go — powiedział Józef Stalin — Walczcie przeciw wrogom wewnętrznym i zewnętrznym i zwyciężajcie ich jak Iljicz. Budujcie nowe życie, nowy byt, nową kulturę... Nigdy nie uchylajcie się od spraw drobnych w swej pracy, albowiem z rzeczy małych powstają wielkie — na tym polega jedno z najważniejszych przykazań Iljicza”.

Te słowa Józefa Stalina są również drogowskazem dla polskiej klasy robotniczej, która nie szczędzi trudów, aby budowa nowego życia i nowej kultury zakończona była jak najszybciej.

DIEMIAN BIEDNYJ

MOSKWA—WARSZAWIE

Warszawie wyzwolonej salut bratni!
Na radość bije dzisiaj strzał armatni
Jak sygnał uroczysty ery świetnej...
Tak ze stolicą rozmawia stolica
I tak w zimowym niebie błyskawica
Zwycięskim blaskiem ciemne chmury przetnie.

Warszawę szarpał wróg jak bestia wściekła.
Rzekłbyś: już nad nią czarna śmierć zawisła
A oto żyje wolna, niepodległa
I szczęsną falą gra u stóp jej Wisła.
Moskwa Warszawę wita uroczystie,
A pozdrowienie bliskie styszełiście
Jak słowo, w którym treść ogromna legła.

Mówią stolicy nie o starej waśni,
Nie o przeszłości dniach znieprawionych,
Lecz o przyjaźni, która nie wygaśnie,
O wspólnych walkach, związku niewzruszonym.

Niechaj więc trwa przez długie, długie lata
Związek przyjaźni mocny i serdeczny,
Niech promienista sława i skrzydlata
Okryje sojusz Moskwy tak walecznej
Z demokratyczną i wolną Warszawą
Współtowarzyszką walk, znaczących sławą.

17 stycznia 1945 r.

Przełożył GRZEGORZ TIMOFIEJEW

1945 — 1953

Historia nowej Warszawy rozpoczęła się w dniu 17 stycznia 1945 roku. Warszawa była wówczas cmentarzyskiem ludzi i domów, a jeśli znów jest stolicą Polski, zawdzięczamy to śmiałej decyzji

władz ludowych i ofiarności całego narodu.

Bliskie są już lata, gdy Warszawa całkowicie podniesie się z gruzów.



AUTOBUSY POLSKIEJ PRODUKCJI



CAF
Anna Kielar jest przodującą pracownicą przy produkcji polskich autobusów. Ten wóz jest gotów do jazdy.

„HALKA” W MOSKWIE



CAF
Artysta ludowy ZSRR I. Kozłowski rozmawia serdecznie z artystami polskimi po przedstawieniu opery „Halka”.

DEMONSTRACJE W CASABLANCE



„SPHERE”
W Casablance odbyły się demonstracje członków związków zawodowych. Policja dokonała licznych aresztowań.

„SŁODKIE LALKI”



W węgierskich fabrykach czekolady produkowane są „słodkie lalki” w pięknych strojach ludowych.

MYSLENIE I DOBROBYT

EDMUND J. OSMĄNCZYK

MAM znajomego, który z powodu chorej wątroby jest bardziej pochopny do zjadliwości, niż do myślenia. Kiedy 3 stycznia Rząd ogłosił uchwałę o podwyżce płac i zwwyżce cen, natychmiast zaskrzeczał:

— Teraz będą wmawiać w ludzi nie wiadomo co... Propagandą można ludziom wmówić wszystko, ale to nie zmieni faktu, że słonina będzie kosztować 35 złotych.

Posprzeczaaliśmy się ostro. Na moje twierdzenie, że u nas nie istnieje propaganda, pojęta jako cyniczna sztuka wmawiania ludziom czegokolwiek, buchnął groźnie:

— To tym gorzej. Zawsze mówiłem, że nie znamy dobrej propagandy i dlatego naród stale psioczy...

I co robić z takim wątrobiarzem, który nie pojmuje wciąż, że żyjemy w kraju budującym socjalizm, a nie w kraju drutującym popękany garnek kapitalizmu; że nam „dobra propaganda” kapitalistycznego typu wcale a wcale nie jest potrzebna; że nam natomiast jest bardzo potrzebne, więcej, konieczne do życia **myślenie** obywateli, a nie „wmawianie” czegokolwiek obywatelom.

W krajach kapitalistycznych myślenie obywateli jest groźne dla ustroju, u nas natomiast jest fundamentem naszej Ludowej Ojczyzny, którą budujemy przecież na świadomości klasy robotniczej i na uświadomieniu obywatelskim inteligencji pracującej i chłopstwa. Tam, gdzie tej świadomości najbardziej jeszcze brak, tam też najbardziej kuleje nasze życie gospodarcze. I odwrotnie. Tam, gdzie świadomi swej odpowiedzialności obywatelskiej robotnicy wznosili z ruin, kosztem iluż ofiar i wyrzeczeń, setki wielkich zakładów pracy, służących dziś całemu narodowi, tam wytyczona została linia naszego rozwoju i naszej przyszłości.

Robotnikom szczecińskiej Stoczni, wrocławskiego PaFaWagu, warszawskiego Żerania, chłopom przodujących spółdzielni produkcyjnych, pracownikom przodujących przedsiębiorstw, niczego „wmawiać” nie trzeba. Obraziliby się słusznie. Ich praca ofiarna, przodownicza, wypływa z myślenia obywatelskiego, które zdobyli w walce o socjalizm, przy budowaniu socjalizmu.

Czy wszyscy obywatele Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej umieją co dzień myśleć po obywatelsku? Nie. Nie wszyscy. Mamy jeszcze wielu zacofanych chłopów. Skutek: wieś nie wykorzystuje w pełni tych możliwości produkcyjnych, które stwarza władza ludowa. Wśród inteligencji pracującej jest też część nie przeciążająca myśleniem swych mózgów. Skutek: wciąż napotykamy na biurokrację, dokuczliwą, zatruwającą wszystkim życie. Mamy też jeszcze i takich robotników, którzy bardziej są skłonni do wódki, bumelanctwa i brakoróbstwa niż do myślenia. Skutek: w fabryce takiej czy takiej nie wykonany plan, jakieś towary lichego gatunku, jakaś robota wykonana po partacku; łańcuszek rozdrażnień, żalów, narzekań, o który wszyscy musimy się potykać.

Na co by tu nam się zdała propaganda wmawiania w siebie, że wszystko jest najlepiej, że inaczej być nie może, że taki jest już porządek rzeczy. W państwie kapitalistycznym ta sztuka „wmawiania” jest potrzebna bandzie kapitalistów, rządzących państwem, bandzie, której obojętne jest zacofanie klas rządzonych, jeśli „uświęcony porządek rzeczy” zapewnia panom kapitalistom dochody. Ale w naszym kraju, jeśli nie liczyć niedobitków kapitalistycznego systemu, sobkowskich spekulancików po wsiach i miastach, nikt nie powiększy swego dochodu z głupoty, czy zacofania, czy z bezmyślności jakiegoś chłopca, inteligenta czy robotnika; przeciwnie — każdy z nas na tym traci.

Toteż, jeśli w naszym kraju można mówić o

propagandzie, to tylko o jednej, o propagandzie myślenia, myślenia kategoriami narodu socjalistycznego. Propaganda ta wyraża się słowami i czynami, które pozostają ze sobą w zupełnej zgodzie. I propagandę tę prowadzi nie żaden urząd, ale wszyscy uczciwie myślący Polacy pod przewodnictwem klasy robotniczej i jej partii. Robotnik, który przyspiesza wykonanie planu, inteligent, który usprawnia aparat państwowy, chłop, który zakłada spółdzielnię produkcyjną — oto propagandziści myślenia kategoriami narodu socjalistycznego. Ich myślenie wzbogaca nas wszystkich, podobnie jak bezmyślność drugich zuboża nas.

Po ogłoszeniu uchwały Rządu w sprawie podwyżki płac i zwwyżki cen, w całym kraju odbyły się zebrania Komitetów Frontu Narodowego. Czy „wmawiano” tam ludziom nie wiadomo co? Nie. Zapoznano z treścią uchwały, dyskutowano, wyciągano wnioski. Na jednym z takich zebrań dwukrotnie zabierał głos jeden i ten sam robotnik. Za pierwszym razem sformułował swój wniosek bardzo ostro:

— Powiedzcie uczciwie: „trzeba zacisnąć pasa”, a nie plećcie o dobrobycie, który przyjdzie ma z sojuszu robotniczo-chłopskiego.

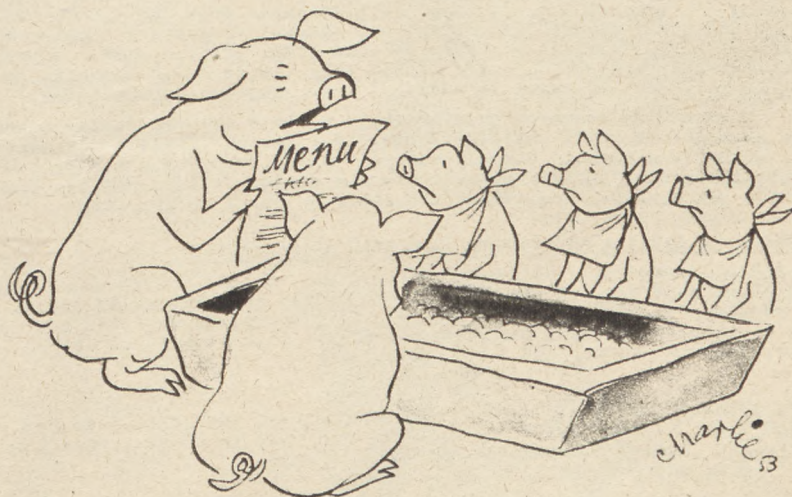
Powstała gorąca dyskusja. Przemawiali ci, którzy swoje słowa opierali na swoim przodownictwie w pracy w fabrykach i spółdzielniach produkcyjnych. — Wreszcie wstał po raz drugi zwolennik sprowadzania całej sprawy do zaciskania pasa i uczciwie przyznał, że nie rozmyślał nigdy dotąd nad tą współzależnością naszych losów.

— Macie rację — powiedział. — Trzeba więcej produkować na wsi, trzeba więcej produkować w mieście. Trzeba nam zatem więcej pracować i oszczędniej gospodarzyć. Ale żeby to osiągnąć, to trzeba wiece czego? Więcej myślenia u ludzi o tym, że — wydajnością naszej pracy sami podnosimy ceny, lub je obniżamy, a tym samym ustalamy realną wartość naszych zarobków.

Oto sedno sprawy. Nasz Rząd uchwałą swoją o podwyżce płac i regulacji cen w interesie ludzi pracy stworzył warunki do wzmocnienia produkcji rolniczej i przemysłowej i jednocześnie zlikwidował to, co pozostawiało spekulantom możliwość śrubowania cen. Rząd przygotował dostateczną ilość towaru, aby go w sklepach nie zabrakło. Doświadczenie pierwszych tygodni wykazuje, że istotnie nigdzie nie udało się spekulantom spowodować dalszej zwwyżki cen, przeciwnie, chcąc się pozbyć towaru, musieli bądź odprzedać go po niższej cenie wprost do klienta, bądź po cenie hurtowej do składnic handlu uspołecznionego.

Możemy zatem stwierdzić, że ustawa dała nam już stałość cen z zarysowującą się perspektywą tendencji zniżkowej. W jakim stopniu i jak szybko ta tendencja będzie się rozwijać, zależy już wyłącznie od siły wytwórczej wsi i miast, czyli od siły uświadomienia obywatelskiego, wyrażonego zwiększeniem wydajności pracy przez robotników, pracowników i chłopów.

PO UCHWALE RZĄDU O REGULACJI CEN



— Niestety, moje drogie, chleb jest skreślony z jadłospisu...

POD SZYFREM HOMER - HELLADA

STEFAN ARSKI

WTEORJI zaatlantyckich speców rzecz przedstawia się nader prosto: asygnuje się określoną sumę dolarów plus odpowiednia doza brutalności i cynizmu, i sprawa jest załatwiona. A jeśli nie, to dorzuca się jeszcze trochę dolarów i już na pewno sprawa jest załatwiona. A gdyby nie, to dokłada się jeszcze więcej dolarów i wtedy skutek będzie niezawodny. Możecie to sobie wyczytać w dziesiątkach publikacji amerykańskich, poświęconych strategii i technice prowadzenia „zimnej wojny“. Jak np. dzieło Mr. Hansona Baldwina, cieszącego się w Stanach Zjednoczonych ogromnym autorytetem, jako ekspert na tym polu. W dziele tym, pod charakterystycznym tytułem „Cena potęgi“ czytamy:

„Wywiad posiada kluczowe znaczenie... Wywiad nie liczący się... z żadnymi moralnymi, legalnymi czy finansowymi ograniczeniami ani hamulcami...“ Taki wywiad to, zdaniem Mr. Baldwina (i wielu, wielu jego kolegów po fachu, a także wysokich dygnitarzy) nieocenione narzędzie polityki zagranicznej. Był tylko miał jak najwięcej pieniędzy i jak najmniej skrępow. Bo — ciągnie Mr. Baldwin — „musi on (tzn. wywiad) posługiwać się wszelakimi ludźmi i wszelkimi metodami. Jest amoralny i cyniczny, posługuje się zdrajcami..., stosuje przekupstwo i korupcję, porwanie ludzi, a niekiedy i zabójstwo, jest panem życia i śmierci, wyzyскуje najszczytniejsze i najnikczemniejsze zarazem uczucia, gra z jednaką bezwzględnością na patriotyzmie jednego, a chciwości drugiego. Cel uświęca tu środki“.

Tak to właśnie wygląda w teorii. A w praktyce? Lekcję praktyczną otrzymali amerykańscy organizatorzy „zimnej wojny“ na przykładzie WiN-u.

Zastosowano tu wszystkie teoretyczne założenia strategii zalecanej przez p. Baldwina i innych. Asygnowano dolary do łącznej sumy jednego miliona, przeznaczono dla krajowego kierownictwa WiN, plus koszty uboczne na utrzymanie „delegatury zagranicznej“ i szeregu innych placówek, związanych z poza WiN-owskimi ośrodkami polskiej reakcji. Na cynizmie i amoralności na pewno nie zbywało, zarówno po stro-

nie amerykańskich zleceniodawców, jak i po stronie polskich rozkazobiorców. Przekupstwo i korupcja osiągnęły prawdziwie amerykańskich rozmiarów. Starano się wyzyskać najszczytniejsze i najnikczemniejsze uczucia, próbując grać z całym cynizmem na patriotyzmie łatwowiernych, naiwnych i nieświadomych póki się dało, a na chciwości łajdaków i łotrów, zaprzańców, renegatów i zakutych reakcjonistów ile wlezie i bez ograniczeń.

Słowem, zrobiono wszystko w myśl niegdyś jezuickiej obecnie zaś amerykańskiej zasady „cel uświęca środki“.

I rojono nadzieje, których skromnym, ale tylko bardzo skromnym odbiciem są reprodukowane na sąsiedniej stronie rysunki z amerykańskiego czasopisma „Coronet“, opublikowane w czerwcu 1952 roku, jako swego rodzaju pokwitowanie dla podatnika amerykańskiego, że za gadzinowy fundusz stu milionów na dywersję, „za żelazną kurtyną“ coś się „robi“. Są te rysunki — powtarzamy — skromnym odbiciem nadziei amerykańskich speców od „brudnej roboty“. Bo odbiciem ich nadziei rzeczywistych jest ów nikczemny plan „Wulkan“, którego wykonanie zlecił swym kreatorom z „delegatury zagranicznej“ WiN, ci zaś za aprobatą „Montowni“ (sztab Andersa), przekazali go „do wykonania“ podległym sobie ośrodkom WiN-owskim w kraju.

Z wiadomym rezultatem.

„HOMER“ SPRZEDAŁ „HELLADĘ“

Pierwsza faza przedsięwzięcia zdawała się nie nastroczać większych trudności. Wprawdzie „Marek“ (Maciołek), „Kama“ (Rolewicz) i „Bartek“ (Bokszczanin) próbowali się nieco drożyć, zwłaszcza, że bardziej w tych sprawach doświadczony „Mirski“ (Mikołajczyk) doradzał im, by się zbyt tanio nie sprzedawali, ale w końcu „Pol“, „Eugeniusz“ i „Hieronim“ dobili z nimi targu. I stanęła umowa. „Homer“ sprzedał „Słonie“, „Helladę“. I tak się zrodził plan zbrodni, zasztfrowanej w umowny język szpiegów i dywersantów. Treść tej umowy jest już dziś dostatecznie znana, by trzeba ją było tu szerzej omawiać. Wystarczy, jeśli przytoczymy z raportów delegatury WiN kilka fragmentów charakteryzujących rodzaj zobowiązań, zaciągniętych przez szajkę Maciołek — Bokszczanin i S-ka.

Oto wyjątek ze sprawozdania „Homera“ dla „Hellady“ z dn. 7 czerwca 1951 r. oznaczonego numerem 26-a:

„Słonie spodziewają się od Hellady wywiadu wojskowego w całym tego słowa znaczeniu, odnośnie wszystkich formacji wojskowych, paramilitarnych, znajdujących się na terenie kraju z O. de B. (Ordre de Bataille). Jest to ważne zlokalizowanie jednostek wojskowych na terenie kraju wszystkich rodzajów broni oraz stanu i siły i uzbrojenia, typów itp.“

Podkreśla się przytem, że dział komunikacji i transportu jest niezmiernie ważnym i interesującym zagadnieniem.

Wywiad dokumentacyjny w kraju w dobie obecnej. Proszę o podanie szczegółowe swych możliwości obecnie. Z jakich dziedzin dokumentację ma Hellada możliwość obecnie zdobywać: wzory, fotografie i całą legendę dokumentacyjną. Czy posiada obecnie speców od tego rodzaju pracy i o jak wysokich kwalifikacjach. Jakie są plany na przyszłość?“

Z raportu Homera dla Hellady z dn. 28 maja 1952 roku:

„Z ich (Amerykanów) strony będzie wysuniętych około 12 zadań wywiadowczych w różnych częściach Polski i na różne tematy, wojskowe, z dziedziny transportu i komunikacji, przemysłu itp...“

Na tego typu robotę Maciołek i Bokszczanin bez trudu uzyskali od „Słoni“ milion dolarów dla Hellady. Nie bez tego, by i sobie zapewnić jaką taką egzystencję. Z innego raportu dowiadujemy się, że „Przyjaciół“ w stosunku do „Marka“ nadskakujący... Delegatura zaopatrzona została samochodami, otrzymała ich około 12 sztuk. „Marek“ dysponuje Chevroletą“.

Poczem bezpośrednio następuje w raporcie zdanie:

„Przyjaciółce wywierają ostatnio na Marka nacisk, celem sfinalizowania akcji „Wulkan““.

Tak więc na odcinku „Słonie“ — „Homer“, czyli wywiad amerykański — delegatura zagraniczna WiN, tzn. amerykańscy spece od „brudnej roboty“ i ich kupni i przekupni najemnicy, sprawa przeszła gładko. Chodziło po prostu o wyzyskanie chciwości zgrai łajdaków, zdrajców i sprzedawczyków, o zagranie na najniższych uczuciach. Krótko mówiąc, szło o dolary. Ale to nie Maciołek, Bokszczanin, Rolewicz i Boryczko, wygodnie rozlokowani w „zagranicznej delegaturze“ i obdarzeni 12 samochodami przez nadskakujących „Przyjaciół“, mieli przecież wykonywać umowę, realizować akcję „Wulkan“. „Przyjaciółce“ liczą na „Rodzinę“ (Amerykanie liczą na krajową organizację WiN) — głosi jeden z raportów Homera dla Hellady. I tę to „Rodzinę“ sprzedali „Przyjaciółom“ komiwojażerowie zdrady — Maciołek, Bokszczanin i Boryczko — swym dolarowym mocodawcom. Za tę „Rodzinę“ zapłacili „Przyjaciółce“ milion. Nie kalkulowało się przecież wcale drogo. Po dziesięć dolarów od łebka. Stutysięczna armia podziemna za jeden milion! Jeden z najlepszych interesów na rynku żywego towaru.

Nisko szacowali sobie „Przyjaciółce“ cenę życia człowieka, który miał być wykonawcą ich brudnych zamierzeń. Jeszcze niżej — jego uczciwość, inteligencję i uczucia. Widocznie z kontaktów z szubrawcami w rodzaju Maciołka, Mikołajczyka, Andersa, Białasa czy Zaremby wywnioskowali, że znajdują w Polsce bez trudu sto tysięcy ludzi, bądź równie jak tamci zjadaczonych i sprzedanych, bądź bezgranicznie łatwowiernych, naiwnych i głupich. Dla pierwszych miały wystarczyć dolary. Dla drugich — takie oto zapewnienia polityczne (ze sprawozdania Homera dla Hellady nr 21 z dn. 27 grudnia 1950 roku):

„W czasie jednej z rozmów z przedstawicielami Słoni zadano Jantarowi dwa bardzo ważne pytania:

a) Jak się zachowa polska armia Rokossowskiego na wypadek wkraczania wojsk niemieckich wśród wojsk alianckich.

b) Ze względu na trudności formułowania celów wojennych na tle zagadnienia polsko-niemieckiego, czy nie byłoby wystarczające zapewnienie Polsce pełnej niepodległości bez określania granic z podkreśleniem prawa dostępu do morza, jednym słowem ogłoszenie czegoś podobnego do deklaracji Wilsona z 1918 roku“.

ZADANIE ARMII NAJEMNIKÓW

Oto perspektywa polityczna, która — zdaniem amerykańskich mężów stanu — miała zjednać im zwolenników w Polsce: Adenauerowska okupacja, „niepodległość“ (właśnie pod tą adenauerowską okupacją) bez ustalenia granic, ale za to z podkreśleniem prawa dostępu do morza... Innymi słowy — oddajcie pół tysiąca kilometrów wybrzeża morskiego, Szczecin, Kołobrzeg, Gdynię i Gdańsk, oddajcie Ziemię Zachodnią, Wrocław, Opole, Olsztyn, Gliwice, i czego tam jeszcze żądają okupanci (Poznań, Toruń, Katowice, Bydgoszcz, Litzmannstadt?), przygotujcie się na przyjęcie z otwartymi ramionami wojsk niemieckich, a w zamian za to otrzymujecie... plan Wulkan. Do wykonania polskimi rękami. Bez dyskusji. Jak głosi bowiem raport Bokszczanina z dnia 24 września 1951 roku:

„Plan doręczony obecnie przez „Przyjaciół“... różni się zasadniczo od pierwotnie omawianego projektu. Różnica zasadnicza polega na tym, że nie zawiera już propozycji czy sugestii podanych jako materiał dyskusyjny, lecz są to wyraźnie sformułowane zadania postawione w formie żądań partych groźbą w razie ich nie przyjęcia. Jest to ultimatum...“

Ażeby zaś usunąć wszelkie ewentualne opory wśród członków krajowej organizacji WiN, to ultimatum amerykańskie poparł swym autorytetem sztab Andersa:

„Przy omawianiu przewidywanych propozycji ze strony „Przyjaciół“, co do planu Wulkan, „Montownia“ po rozpatrzeniu wszystkich za i przeciw wyraziła opinię, że należy na to iść...“

Sprawozdanie Nr. 26a.

Hellada!

W dniu 1. VII. 1951. zostali skierowani do nas przez przedstawicieli Słoni następujące pytania skierowane do nas. Są w tym pytania dotyczące strony ogólnej oraz poruszona sprawa, której nie będziemy poruszać. Poniżej podajemy je w ujęciu ogólnym.

1. Celem nawiązania bariernej efektywnej w polityce, orientowania się w możliwościach Hellady w obecnym okresie jak również i w przyszłości oraz przyjęcia z efektywności, pomocy technicznej i materialnej, Słonie postawił szereg pytań oraz wyraził swe życzenia i wskazówki na ich kierunku zainteresowania. Jednocześnie Słonie prosi o jaknajbardziej wyczerpujące i pełne odpowiedzi z uzasadnieniami kierownictwa lub kierowników działów fachowych odnośnie przekazanych tu opinii, oświadczeń politycznych i negatywnych oraz planów na okres obecny i na wypadek konfliktu. Odpowiedzi są to szczególnie do części ogólnej.

I. Część ogólna.

1. Słonie spodziewają się od Hellady wywiadu wojskowego w całym tego słowa znaczeniu odnośnie wszystkich formacji wojskowych, paramilitarnych znajdujących się na terenie kraju z O. de B. Jest to ważne zlokalizowanie jednostek wojskowych na terenie kraju wszystkich rodzajów broni oraz stanu i siły i uzbrojenia, typów itp.

Słonie proszą o podanie im jakie realne możliwości w tej chwili ma Hellada w tej dziedzinie, czy zamierza i jak rozwinąć ten dział pracy obecnie i w przyszłości, jak wygląda planowanie oraz jak wysoka jest potrzebna pomoc materialna przy stanie obecnej aktywności i celach wykonania planu na najbliższą przyszłość. Jak długi jest potrzebny okres na zrealizowanie zamierzeń. Podkreśla się przy tym, że dział komunikacji i transportu jest niezmiernie ważnym i interesującym zagadnieniem.

2. Wywiad dokumentacyjny w kraju w dobie obecnej. Proszę o podanie szczegółowe swych możliwości obecnie. Z jakich dziedzin dokumentacji ma Hellada możliwość obecnie zdobywać wzory, fotografie i całą legendę dokumentacyjną. Czy posiada obecnie speców od tego rodzaju pracy i o jak wysokich kwalifikacjach. Jakie są plany na przyszłość.

Wiadomości Ludwika od Brunona, /pomocnik Hieronima/

Budżet na następny okres dla Hellady nie został jeszcze zatwierdzony. Bruno sugeruje, że nie należy ten budżet zwiększać do czasu, aż rodzina nie odpowie na postawione jej pytania. Między jednym a drugim okresem budżetowym, mają być płacone te same stawki jak dotychczas, tak dla rodziny jak i delegatury.

6. Sprawozdanie nr. 26a zaktualizowane po konferencji z dnia 16 d. tym samym nie będzie aktualizowane. Dopuszczalne w sprawie tytułu /roba do tytułu Słonie/ nadeszła we właściwym czasie. Ilość najserdeczniejszego podziwienia

Mark

Homer
27.III.50

Sprawozdanie nr 21

H E L L A D A

W czasie jednej z rozmów z przedstawicielami Słoni zaliczono Jantarowi dwa bardzo ważne pytania:

a/ Jak się zachowa polska Armia Pokossowskiego na wypadek wkraczania wojsk niemieckich wśród wojsk Aljantkich.

b/ Ze względu na trudności formułowania celów wojennych na tle narzucenia polsko-niemieckiego czy nie byłoby wystarczające zapewnienie Polsce pełnej niepodległości bez określania granic z podkreśleniem warunków prawa dostępu Polski do morza, jednym słowem ogłoszenie czegoś podobnego do deklaracji Wilsona z 1918 roku.

techniczne.

„Słoni” już to przyniósł z rozmowy z nim kilka mi się.

A na cóż to miała „iść” armia najemników, którą sobie za milion dolarów zapragnął kupić w Polsce amerykański wywiad? Już nawet nie na mięso armatnie. Na niewóz pod obłąkańcze plany wojenne Waszyngtonu. Przypatrzmy się bowiem założeniom planu „Wulkan”.

Jak głosi raport Bokszczanina z 24 września 1951 roku:

„Przyjaciele żądają zdeorganizowania, jeżeli nie całkowitego przerwania dopływu transportów w kierunku zachodnim, w okresie przez nich narzuconym”. Zadanie to miało być wypełnione poprzez działalność sabotażowo-dywersyjną WiN-u i wykonanie przezeń nakazanych zniszczeń oraz przez wskazanie obiektów do bombardowania, które z kolei próbowałoby zniszczyć lotnictwo amerykańskie.

W jakim celu? Oddajmy głos lotrzykowi, który z wysokości swego nadrzednego stanowiska w zagranicznej delegaturze WiN zaleca krajowej organizacji wykonanie tego planu:

„Chodzi mi o korzyść, jaką może przynieść taka operacja w zestawieniu z włożonym wysiłkiem, ofiarami i konsekwencjami na przyszłość. Przyjaciele uwarunkowali co prawda wystąpienie organizacji czasem, w którym ma być stoczona bitwa na Zachodzie... Ponieważ jednak Przyjaciele w pierwszej fazie przewidują i planują opóźnianie, którego celem jest uniknięcie rozstrzygającej bitwy, więc do bitwy w ogóle dojść nie może. To, co oni chcą nazwać bitwą, na tyłach której chcą użyć naszej organizacji, musimy nazwać zgodnie z naszym słownictwem wojskowym, przejściowym oporem, po którym następuje dalszy planowany odwrót na następne kolejne pozycje przejściowego oporu, do czasu, kiedy siły i sytuacja pozwolą na przyjęcie bitwy. Tego Przyjaciele w pierwszej fazie nie przewidują. O ile więc działanie na tyłach rozstrzygającej bitwy byłoby ryzykiem usprawiedliwionym, to robienie dywersji w odległości setek kilometrów poza frontem, w czasie, gdy nasz sojusznik prowadzi działania opóźniające bez możliwości i zamiaru przejścia do działań zaczepnych, byłoby dziełem bezwartościowym dla sojusznika, a szkodliwym dla nas... Żądane przez Przyjaciół działanie... nie zaważy na przebiegu działań wojennych... a będzie wymagało od nas ofiar tak wielkich”.

DANE Z HITLEROWSKICH PLANÓW

Sprawa jest zatem bardzo prosta. Sztabowcy amerykańscy nie mają złudzeń, że w pierwszej fazie sprovokowanego przez amerykańskich agresorów konfliktu zbrojnego, przyjdzie im ewakuować Europę. (Złudzenia mają dopiero odnośnie następnych faz: wydaje im się, że kiedyś na ten kontynent wrócą). Z myślą o konieczności tego odwrotu wypracowali swój Retardation Plan, obliczony na wywołanie szeregu akcji opóźniających, by siły amerykańskie mogły się z najmniejszymi stratami wycofać z Europy, przeprowadzając po drodze maksimum zniszczeń w krajach Zachodu. Jednym z elementów tego Retardation Plan miała być akcja Wulkan. Innym — działania armii europejskiej, którą sztab amerykański traktuje jako osłonę swego odwrotu. Taką właśnie funkcję przeznaczają swym europejskim „sojusznikom” organizatorzy nowej wojny. Europa leć ma w gruzach i utonąć w potokach krwi, by Amerykanom ułatwić odwrót — taka jest wymowa „Retardation Plan”.

Ogromną doń przywiązywali wagę „Przyjaciele” na odcinku polskim.

Gotowi byli płacić w złocie i dolarach, dostarczyć sprzętu, broni, trucizny, środków wybuchowych. Ba, pomóc mieli nawet dać przyjaciół Przyjaciół. — Posłuchajcie tylko, jakie delegatura zagraniczna WiN przyrzekała ułatwienia: (raport z 3 listopada 1951 r.):

„Bartek podkreślił, że bardzo duże ułatwienie dla Rodziny dałyby dane techniczne o większych mostach

i węzłach kolejowych... Dane te na pewno znajdują się w posiadaniu źródeł niemieckich z okresu ostatniej wojny i przypuszczam, że te dane będzie łatwo wydośćać Przyjaciółom”. Och, dla takiego celu Przyjaciele (neohitlerowcy) nie odmówiliby Przyjaciółom (ludobójcom) pomocy dla ich Przyjaciół (sprzedawczyków).

I do takiej roboty chcieli zwerbować w Polsce stutysięczną armię najemników. Marzyły im się setki tysięcy rąk, podkładających dynamit pod tory i mosty, marzyły setki tysięcy ust przekazujących szpiegowskie informacje...

Doczekali się... huraganu śmiechu, który długo jeszcze będzie się rozlegał echem po Europie. Stutysięczna armia na papierze i ocena jej „działalności” (przekazana do kraju przez jednego z funkcjonariuszy delegatury WiN-u, Boryczkę): „Amerykanie są zadowoleni z materiałów” — gdy krajowe kierownictwo owej nieistniejącej „armii” stwierdza autorytatywnie: „jedynie co pościliśmy im prócz fikcyjnych, wyszanych z palca „informacji” — to spis potraw jednej z restauracji warszawskich” wystarczy, by uprzytomnić wszystkim poziom, inteligencję, orientację i rozum polityczny amerykańskich mężów stanu, dowódców wojskowych i szefów wywiadu. Wszak w rokowaniach z WiN-owskimi aferzystami brali udział ludzie na szczeblu ministerialnym (Royall), szefowie sztabu (Bradley), wysocy funkcjonariusze wywiadu (Harrison), nie mówiąc już o całej plejadzie polityków (Bliss Lane, Jackson, Grew), i oficerów („Pol”, „Eugeniusz”, „Hieronim”).

Ale echa bezprzykładnego wpadunku „Słoni” odegrają swą rolę polityczną nie tylko u nas. Odegrają ją także i w krajach satelitów amerykańskich. Ukażą i tam ludziom zamiary „Przyjaciół” we właściwym świetle i we właściwej proporcji ich polityczny rozum. Jako dowód niezbity, że „kowboje są głupi”, ale zdolni zarazem do każdej zbrodni.

SŁOWNIK WYRAZÓW OBCYCH

Artykuł ten oparty jest na materiałach zaczerpniętych z archiwum WiN-u. Używany w raportach i sprawozdaniach umowny język szpiegowski byłby niezrozumiały bez słownika pseudonimów i terminów technicznych. Ten SŁOWNIK WYRAZÓW prawdziwie mu OBCYCH znajduje Czytelnik poniżej:

BARTEK — plk Bokszczanin z delegatury zagr. WiN.

EUGENIUSZ — oficer wywiadu amerykańskiego.

HELLADA — krajowa komenda WiN.

HIERONIM — oficer wywiadu amerykańskiego.

HOMER — delegatura zagraniczna WiN.

JANTAR — plk Chruściel.

KAMA — Rolewicz z delegatury zagranicznej WiN.

MAREK — plk Maciolek z delegatury zagranicznej WiN.

MIRSKI — Mikołajczyk.

MONTOWNIA — Sztab generalny Andersa.

NOTEK — wywiad.

POL — plk Sapieha, oficer wywiadu amerykańskiego.

PRZYJACIELE — Amerykanie.

RODZINA — krajowa organizacja WiN.

SŁONIE — Amerykanie.

JAK oni SOBIE TO WYOBRAŻAJĄ

Coronet

W czerwcowym zeszycie „Coronet” z r. 1952 ukazał się reportaż imaginowany pt.:

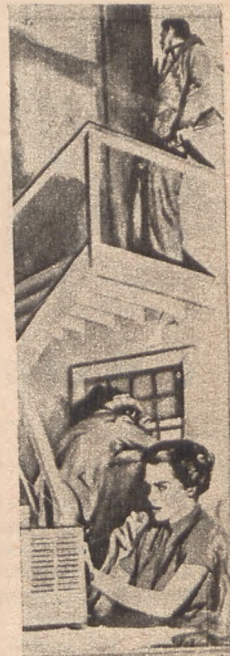
ZA TAMTĄ KURTYNĄ

Jest to fantazja tekstowo-rysunkowa: tak sobie wyobrażają w USA ową brudną robotę, na którą przeznaczono 100 milionów dolarów i którą miał m. in. wykonać w Polsce WiN.

BEHIND
THAT CURTAIN



Terror indywidualny



Łączność z wywiadem USA



Napad dywersantów



Przerzucanie sprzętu i broni drogą morską.



(„Über Land und Meer“, lipiec 1863, rys. Wilhelm Dietz)

BITWA POD KAZIMIERZEM.

DNI STYCZNIOWE

W WARSZAWIE – POD CHMIELNIKIEM – W ZAMKU GANDULFA

W nocy z dnia 22 na 23 stycznia mija 90 lat od chwili wybuchu powstania styczniowego.

Zmagające się z obcą przemocą i zdradą rodzimej Targowicy powstanie styczniowe było zbrojnym wyrazem dążeń narodu do niepodległości i sprawiedliwości społecznej.

Lata 1861–1863 pozostały również w pamięci na-

stępnych pokoleń, jako okres ofiarnej walki najlepszych synów narodu polskiego i rosyjskiego przeciw wspólnemu wrogowi — caratowi.

Powstanie styczniowe i jego demokratyczny walczący obóz stanowią ważne ogniwo wielkiej tradycji postępu i umiłowania wolności; tradycji, której dziedzicem jest Polska Rzeczpospolita Ludowa.

ANDRZEJ KAROLAK

Gdy naród do boju wystąpił z orężem. Panowie o czynszach radzili.

— napisał w roku 1831 Gustaw Ehrenberg — i słowa te stały się pieśnią polskiego ludu.

Przeciw narodowi walczącemu o wolność jeżyły się bowiem nie tylko bagnety zaborcy. Przeciw narodowi szła również przemoc rodzima, zdrada arystokratyczna i szlachecka, Targowica. Tak było w dobie insurekcji kościuszkowskiej. Po latach sędziwy żołnierz kościuszkowski z Podhala opowiadał Sewerynowi Goszczyńskiemu:

„Kościuszek był wówczas dyktatorem i odbywał przegląd swojego wojska. Zjechało się wiele szlachty z okolicy, jeden z nich postrzegł w szeregu powstańców poddanego ze swojej wsi, który tajemnie uciekł do wojska: bez żadnego względu na cokolwiek wyciąga go

z szeregu, uderza kilka razy w twarz i każe natychmiast powrócić do wsi, gdzie mu jeszcze zapowiada karę za zbiegostwo“).

Nie inaczej było później. Naród żył myślą o wolności, a Targowica myślała o dochodach z pańszczyźnianych majątków. Najlepsi synowie narodu snuli wizje narodowego i społecznego wyzwolenia Polski, a Targowica łączyła się z obcą przemocą, żeby zachować s w o j e przywileje, s w o j e folwarki, swoje i obce jarzmo.

Pieśń o narodzie występującym do boju w listopadzie 1831 roku pokazuje ich palcem, mówi o nich gorzko i gniewnie, piętnuje po wszystkie czasy.

„O, cześć wam, panowie magnaci,
Za naszą niewolę, kajdany;
O, cześć wam książęta, hrabiowie,
Pralaci...“

A dalej, kolejno o Chłopskim, Skrzyneckim i Krukowieckim, nieudolnych i obcych ludowi przywódcach, prowadzących do klęski:

„Wszak waszym był synem ów niecny kunktator,
Co wzbudzał przed wrogiem obawę,
I wódz ten szprytny, pobożny dyktator,
I zdrajca, co sprzedał Warszawę“.

Mijały lata, ale oni się nie zmieniali. Z politycznej siedziby Czartoryskich — paryskiego Hotelu Lambert — rzucono w roku 1831 kalumnie na wielkiego Polaka Joachima Lelewela i walczących patriotów.

W roku 1863 było podobnie. Przedmiotem wściekłości targowiczian znowu stali się patrioci i najmężniejszy z nich — Jarosław Dąbrowski.

Ale społeczeństwo coraz jaśniej zdawało sobie sprawę z antynarodowej magnackiej polityki. Nawet w „Głosie kapłana polskiego“ (nr. 5) — organie „Spisku księży młodych“ z lat sześćdziesiątych, ukazał się znamienity artykuł,

*) Seweryn Goszczyński „Dziennik Podróży do Tatrów“, 8 maja 1832 r.

w którym czytamy o Hotelu Lambert i szlacheckim panowaniu:

„Co było przyczyną upadku dawniej, jest przyczyną naszej bezwładności dzisiaj. Cała ta chmara próżniaków, w naszym kraju tak rozmnożona, ona pierwszą Ojczyznę jest nieprzyjaciółką; gorsza od szarańczy, jest plagą naszą, na którą środka żadnego nie ma; jak smok stugłowy pochłania to, co mu zapracujemy, a nas w ciągłym niedostatku zostawia. To jest klasa ludzi bez czi, bez sumienia, klasa pasożytna, której wszystkie uczucia i dążenia skupiają się w tym jednym celu, aby żyć i używać... Mianują się patriotami, ach! To bluźnierstwo w ich ustach, oni znaczenia tego świętego wyrazu nie pojmują, lub nim zdradliwie się zastawiają. To też kiedy zbudzony do nowego życia naród próbuje skruszyć swe kajdany, patrzcie, jak znaczna część tych próżniaków, nie chcących sobie zadawać trudu w zawiślaniach domowych, całymi stadami opuszcza rodzinne strony, żeby gdzieś w oddaleniu wegetować...“

PRZECIW OBCYM I RODZIMYM CIEMIĘZCOM

Tymczasem zaś ludzie szlachetni i mężni przygotowują się do walki. Wstępują się w przechodzący przez Europę głos wolności. Czują się żołnierzami wspólnej sprawy, rozpamiętując słowa Karola Marksa z roku 1848, roku Wiosny Ludów i Manifestu Komunistycznego:

„Na czym polega nieubлагana, żelazna konieczność nowego wyzwolenia Polski? Na tym, że panowanie magnaterii, które od roku 1815 trwało nieprzerwanie przynajmniej w Poznańskim, w Galicji i częściowo nawet w zaborze rosyjskim, obecnie również przeżyło się i pogrzebało, podobnie jak demokracja drobnoszlachecka w roku 1772; poległa na tym, że demokracja agrarna stała się dla Polski podstawowym zagadnieniem nie tylko życia politycznego, ale i spo-

łecznego; na tym, że rolnictwo, ta podstawa egzystencji narodu polskiego, ulegnie ruinie, jeśli chłop pańszczyźniany, lub chłop zmuszony do odróbek, nie stanie się wolnym rolnikiem; na tym właśnie, że rewolucja agrarna jest nie- możliwa bez równoczesnego zdobycia samodzielnego bytu narodowego“.

Płomienni patrioci — Jarosław Dąbrowski, Konstanty Kalinowski, Topór-Zwierzdowski i Padlewski, Walery Wróblewski i Hauke-Bossak, Chmielński i Bolerowski — potrafili sformułować program wyzwolenia narodowego, wyrażający ówczesne potrzeby i dążenia mas ludowych. Już w latach pięćdziesiątych bezrolni chłopci stanowili 40 procent ogółu chłopstwa w Królestwie Polskim. Pozostałe 60 procent pozostawało „bądź na warunkach pańszczyzny, bądź też na warunkach półpańszczyźnianego czynszu... Najszersze masy chłopów zarówno w Królestwie Polskim, jak i na ziemiach ukraińskich i białoruskich, zainteresowane były w rewolucji agrarnej“).

Obszarnicy spod znaku „stronnictwa białych“, Czartoryskiego i Zamoyskiego, oraz carski „naczelnik rządu cywilnego“, margrabia Wielopolski, różnili się w sprawach orientacji zewnętrzno-politycznej: pierwsi stawiali na reakcję francuską i angielską, Wielopolski — na współpracę z caratem. Ale wszyscy oni jednak obawiali się rewolucji agrarnej i powstania. Zdając sobie sprawę z konieczności przebudowy stosunków w rolnictwie na zasadach kapitalistycznych, raczyli rozważać możliwość oczyszczenia chłopów. Ale nawet te rozważania dyktował im śmiertelny strach przed narodowym powstaniem. Targowica skrzykiwała się znowu. Powstanie styczniowe wybuchło przeciwko caratowi i przeciwko niej, przeciwko obcym i rodzimym ciemiężcom. Manifest Powstańczego Rządu Narodowego z dnia 22 stycznia 1863 roku głosił:

„Ziemia, którą lud rolniczy posiadał na prawach czynszu lub pańszczyzny, staje się od tej chwili bezwarunkową jego własnością, dziedzictwem wieczystym...“

Bardziej jeszcze zaawansowane hasła społeczne wysunął „Czerwony Rząd“, na którego czele stał Konstanty Kalinowski — „polski Robespierre“, korzystający z szerokiego poparcia białoruskich chłopów. Kalinowski żądał podziału całej ziemi obszarniczej, a białoruska „Muzykaja Prawda“ — wydawana przy udziale Kalinowskiego — pisała:

„Carowi przychodzi już koniec, albo- wiem chłop poczuł wolność, a chłopska wolność to wszystko jedno szubienica dla wszystkich zdrajców i ciemiężców ludu...“

Bardziej radykalny charakter nosiła również działalność Topora-Zwierzdowskiego i innych rewolucyjno-demokratycznych działaczy lewicy Stronnictwa Czerwonych.

„Nawiązywali oni do... tradycji gromady „Grudziądz“, do księdza Piotra Sciegienego, do organizatorów powstania krakowskiego 1846 roku, do tych wszystkich, o których Karol Marks pisał w artykule „Wiec polski w Saint-Martinshall“: „...należy podkreślić, że wypadki 1846, 1848 i 1849 roku wysunęły trzeci element polskiej demokracji, frakcję socjalistyczną, która współ z demokratami występuje przeciwko Czartoryskim...“).

Jakkolwiek przed powstaniem i w czasie powstania nie ustawała walka między czerwonymi i białymi, jednakże lewica stronnictwa czerwonych nie ukonstytuowała się ani politycznie, ani organizacyjnie w zwartą całość, z jasno określonym programem...

Fakt ten wpłynął na losy całego powstania. Związany zaś był z uwięzieniem Jarosława Dąbrowskiego. Przyszły bohaterki generał Komuny aresztowany został w sierpniu 1862 roku.

„ZA WOLNOŚĆ WASZĄ I NASZĄ“

Od kilku lat wzrastał opór chłopów przeciw pańszczyźnie. Ruchy chłopskie objęły ponad półtora tysiąca wsi i ponad ćwierć miliona ludzi. Jednocześnie szerokim echem odzywały się po całym kraju antycarskie demonstracje polityczne w Warszawie. Motorem ich był lud warszawski, robotnicy i rzemieślnicy, miejska biedota. Stanowiła ona póź-

**) Józef Kowalski. „Rewolucyjna demokracja rosyjska a powstanie styczniowe“. (Książka i Wiedza 1949).



niej najradzykalniejszy element powstania. Teraz skupiała się wokół Centralnego Komitetu Narodowego, którego uosobieniem był Jarosław Dąbrowski. Z inspiracji Dąbrowskiego Komitet Centralny z całą świadomością przygotowywał powstanie, jako narodowy ruch rewolucyjny walczący o niepodległość i zniesienie pańszczyzny w ścisłym porozumieniu i przymierzu z rosyjskim ruchem rewolucyjnym. W okresie skonkretyzowania się planów powstania, do spisku wciągnięto wielu rewolucjonistów spośród oficerów rosyjskich garnizonów stacjonujących w Polsce; oficerów, którzy z kolei oddziaływali na żołnierzy. Ich nazwiska, nazwiska Iwana Arnholdta, Wasyla Kaplińskiego, Piotra Śliwickiego, Andrzeja Potiebni i wielu, wielu innych, widnieją dzisiaj we wspólniejszej księdze braterstwa naszych narodów. Rosyjscy demokraci zamierzali zresztą zbrojnie poprzeć polskie powstanie nie tylko w Polsce. Marzyli o wywołaniu powstania chłopskiego w całej Rosji. W Polsce zaś ruch powstańczy zaczął się miał od opanowania twierdzy Modlin. Rosyjska załoga Modlina solidaryzowała się z powstańcami. Każdy dzień wspólnej walki potwierdzał słuszność stanowiska Dąbrowskiego, Sierakowskiego i najwybitniejszych bojowników dni styczniowych. Sprawy wolności Polski i wolności Rosji były jedną wspólną sprawą obu narodów.

Po aresztowaniu Dąbrowskiego, w okresie ostatecznych przygotowań do powstania, w Komitecie Centralnym doszło jednak do głosu prawe skrzydło czerwonych, o wiele mniej konsekwentne, nie reprezentujące radykalnego ludu miejskiego, złożone z chwiejnych i nie dość zdecydowanych elementów inteligentkich, drobnomieszczańskich i drobnoszlacheckich. Wpłynęło to na przebieg powstania, które rozpoczęło się w śnieżną styczniową noc 1863 roku, w odpowiedzi na brankę Wielopolskiego. Możliwość bowiem sukcesu „nie była wcale tak znikoma, jak to później usiłowali przedstawić antypowstańczy burżuazyjni historycy. Wynik podjętej w wielu częściach kraju akcji zależał bowiem przede wszystkim od tego, jakie siły wezmą w powstaniu udział i jakie siły spoza społeczeństwa polskiego je poprą, z jakimi siłami powstanie się sprzymierzy“.

Manifest Komitetu Centralnego, przekształconego 22 stycznia w Rząd Narodowy, zapowiadał natychmiastowe uwłaszczenie chłopów, ale nie wzywał ich pod sztandary powstania. Niefortunny dyktator, Ludwik Mierosławski, demagogicznie popisywał się w tym okresie frazesem o sympatii dla „hajdamackiego rozpasania żywiołów“ w Rosji, ale w Polsce... kazał karać ruchy społeczne jako „zdradę“ i wypowiadał się przeciwko współpracy z rosyjskimi rewolucjonistami.

Manifest uwłaszczeniowy wywarł co prawda wpływ na chłopów, znalazło to wyraz w powstaniu chłopskich grup partyzanckich, ale niezdecydowanie i polowiczność polityki powstańczej podcięły zaufanie szerokich mas chłopskich do szczerości kierownictwa powstania.

Kierownictwo to nie odważyło się zrealizować wytycznych manifestu, nie umiało również złamać sabotażu obszarników, kiedy biali — reprezentanci obszarnej szlachty i wzbogaconego mieszczaństwa — przyłączyli się do powstania. Przyłączyli się zaś dlatego, żeby, jak pisał Koźmian, odjąć powstaniu „znamie rewolucyjne i demagogiczne“, a nadać mu cechy „umiarkowania i roztropności“. Szło tu w istocie o zdławienie powstania ludowego, demokratycznego i narodowego, o odcięcie powstania od szerokich mas narodu. Szło o pozostawienie na uboczu sprawy chłopskiej, sprawy węzłowej, decydującej o losach Polski. Jedyną perspektywą takiej polityki była klęska.

„NAJJAŚNIEJSZY PANIE...”

Hotel Lambert antyszambrował we wrogich Polsce gabinetach i zapewniał,

że „wszelką anarchię u siebie zwalczamy“. Zachodni protektorzy Hotelu Lambert byli jednak zdeklarowanymi nieprzyjaciółmi suwerenności narodu polskiego — zupełnie podobnie zresztą, jak Hotel Lambert. Z owych kontynuujących linię Targowicy praktyk, które jedna z ówczesnych broszur powstańczych zupełnie dokładnie nazwała „namacalną zbrodnią białych bogaczy“, pozostało kilka ciekawych dokumentów. Jednym jest angielski okrzyk królowej Wiktorii, która wołała, że „pod żadnym pozorem nie należy Polakom pomagać“. Drugim jest aprobata dla angielskiego okrzyku, wyrażona przez Napoleona III i Franciszka Józefa. Trzecim jest list papieża Piusa IX do cara Aleksandra II z dnia 22 kwietnia 1863 roku, pisany w okresie, gdy najlepsi synowie narodu polskiego krwawili pod Olszową, Płockiem, Budą Zaborowską i Stefankowem, gdy Walery Wróblewski zmagiał się z na jeżdzącą pod Waliłami, Romuald Traugutt prowadził swych kosynierów na Horki, a Sierakowski uderzał na Gietyn.

„Najjaśniejszy Panie — pisał wtedy papież do Aleksandra II — dalecy jesteście od pochwalania duchowieństwa, które bierze udział w zaburzeniach politycznych i chwytą za broń ku obaleniu władzy rządu. Przeciwnie, oplakujemy i potępiamy takowe postępowanie...”

Było to szczere wyznanie. Powieszony w Sokołowie ksiądz Brzóska, który wytrwał cały rok 1864 na Podlasiu, jako dowódca partii powstańców i staczał potyczki aż do grudnia, został ekskomunikowany przez biskupa podlaskiego, działającego w myśl zaleceń papieskich.

A dnia 30 lipca 1864 roku poseł carski Mayendorf otrzymywał z rąk Piusa IX encyklikę, „daną w zamku Gandulfa“.

Była w niej mowa i o „niewczesnym powstaniu... przeciw Najpotężniejszemu Mocarstwu podniesionym“ i o tym, że „ruchy tego rodzaju, tyle szkodliwe Kościołowi i Rzeczypospolitej, i karci-my, i potępiamy“. Walczący o niepodległość naród polski doczekał się zaś w tej samej encyklice takiej oto charakterystyki swojej postawy: „Narody... wyzuwszy się z wszelkiego postuszeństwa powinnego Bogu, jego Kościołowi i prawom, puszczają się niestety na wyuzdaną swawolę żywota i działania, a brną według swych chuci w występkach, gardzą władzą, bezczeszczą majestat, przeciw monarchom powstają i wypowiadają im postuszeństwo“.

Bohaterskie powstanie walczy i krwawi. Niech żyje Polska — wołają nacierający na wroga patrioci. A w tym samym czasie...



Wykłęte przez Targowicę i jej watykańskich sprzymierzeńców, powstanie walczyło. Niewielkie i lichy uzbrojone oddziały dokonywały cudów odwagi i męstwa. Prowadzili je do boju bohaterscy dowódcy: Czachowski, Padlewski i Taczanowski, Hauke-Bossak i Kruk. Ramie w ramie z powstańcami szli rewolucjoniści rosyjscy. W bitwie pod Pieskową Skałą zginął Andrzej Potiebni — przywódca rewolucyjnej organizacji rosyjskich oficerów, którzy — jak stwierdzał to m. in. „Times“ — licznie zasilili szeregi polskiego powstania. W imieniu demokracji rosyjskiej zabrzmiał epizodyczny głos Aleksandra Hercena:

„Jesteśmy z Polską, gdyż jesteśmy za Rosją. Jesteśmy po stronie Polaków, gdyż jesteśmy Rosjaninami. Chcemy niepodległości Polski, gdyż chcemy wolności Rosji...”

W ciągu roku 1863 raz po raz rozjaśniał się blask nowych objętych działaniami obojczy. Biło się Podlasie, walczyło Lubelskie i Mazowsze, nie wygasły Krakowskie i Sandomierskie, gdzie poległ Czachowski; pod Drunią, Nową Słupią i w Opatowskim zmagiał się z carskimi wojskami generał Hauke-Bossak; trwały walki na Mazowszu i w Kaliskiem, później pod Chmielnikiem, Opatowem, Szczekocinami przyszyły zwycięstwa Bossaka; jeszcze później — reforma wojskowa ostatniego dyktatora Traugutta, który ze swego konspiracyjnego mieszkania przy ulicy Smolnej kierował ruchem narodowym. Przed nim — zmieniali się dowódcy, zmieniali się stronnictwa przy władzy, wiele szkód narobił zwłaszcza reakcyjny dyktator Langiewicz.

Romuald Traugutt był ostatnim wodzem powstania. Sam walczył w polu, znał warunki walki i rozumiał, że ocalić Polskę może tylko „zbratanie wojska z ludem“.

„Z ludem dopiero znieść wroga możemy“ — pisał w rocznicę wybuchu powstania.

„Znajdując w szlachcie materiał niepodatny i tchórzliwy, kierunek prac swoich zwrócić głównie na lud“ — apelował do komisarzy w zaborze pruskim.

Było już jednak za późno na przywrócenie zaufania chłopów. Powstanie dogasało. Szlachta masowo opuszczała szeregi. W kwietniu 1864 roku Traugutt został aresztowany.

ADRES HRABIEGO PLATERA

Dni styczniowe i lata, które po nich nastąpiły, były okresem zmiennym

dla dalszego kształtowania się postawy szlachty i burżuazji polskiej. „U tych znacznych ludzi — pisał Jan Lam*) — bohaterem jest każdy, kto się opiera dzielnie „swędomu rewolucyjnemu“ i ma tak mocną głowę, iż mu się nie da zczadzić. Stoją oni dumnie przy sztandarze, na którym wypisali: „NIEPRZERWALNOŚĆ TARGOWICY“, biorą rozbrat z narodem z zasady...”

W samym ogniu powstania hrabia Plater, hrabia Ożarówski i inni, pralanci: Bowkiewicz, Niemeksa, Tafalski i inni, biskupi Wołoszczewski, Łubieński i inni, składali i gorliwie zbierali adresy wiernopoddańcze do rządu carskiego.

Targowica przeszła otwarcie i cynicznie na pozycję kapitulacji narodowej. Grzęzła w nich coraz głębiej w miarę rozwoju kapitalizmu i wzrostu sił klasy robotniczej. Czerwony sztandar staje się dla burżuazji wizją o wiele groźniejszą niż dwugłowy carski orzeł na warszawskich urzędach. Wzięli „rozbrat z narodem z zasady“, a również z klasowego, antynarodowego interesu. Ich droga wiodła do faszystowskiej dyktatury, paktu z Hitlerem, antypolskich knoń w Waszyngtonie i Bonn — poza Polskę, ostatecznie i nieodwołalnie. Droga narodu wiodła przez powstanie styczniowe i tradycje najwierniejszych jego bojowników — do Polski Ludowej. Na drodze tej świecą blaskiem ogromnym nazwiska wielkich synów Polski: Jarosława Dąbrowskiego, Ludwika Waryńskiego, Feliksa Dzierżyńskiego.

5 sierpnia 1864 roku pod szubienicami na stokach Cytadeli stanęło pięciu członków ostatniego powstańczego Rządu Narodowego.

28 stycznia 1886 r., na stokach Cytadeli, zawiśli na szubienicach czterech członków Socjal-Rewolucyjnej Partii „Proletariat“. Partia, której przewodzili, nie była jednak złamana. Sprawę wyzwolenia narodowego i społecznego wzięła w swe ręce klasa robotnicza. W nowych warunkach podjęła ona wielką ideę wspólnej walki ludów Rosji i Polski przeciwko wspólnemu wrogowi — caratowi, i rozpoczęła wspólną z rosyjską klasą robotniczą walkę o zwycięstwo rewolucji. Była to jedyna droga do wyzwolenia społecznego mas pracujących i wyzwolenia narodu z jarzma niewoli.

Dzięki zwycięstwu Wielkiej Rewolucji Październikowej wyzwolenie to stało się rzeczywistością. Wolna i niepodległa Polska Ludowa czci dzisiaj pamięć swych niezłomnych synów, którzy walczyli o nią i wierzyli, jak Jarosław Dąbrowski, w „zmarłych wstanie Polski demokratycznej, a więc wolnej, szczęśliwej i potężnej“.

*) Jan Lam „Koroniarz w Galicji“ — wydana w r. 1870 satyryczna powieść o okresie powstania styczniowego (wznawiana w r. ub. przez „Czytelnika“).





kiej 1308—1309. Podniesiono również zastrzeżenia wobec dotychczasowych poglądów na dzieje Starego Miasta. Wokół prac na rynku skupia się więc ogromne zainteresowanie archeologów, architektów i historyków. Dyskusje w Towarzystwie Historycznym i w Komisji Badań Dawnej Warszawy stanowią składową część wysiłku wielu ludzi, którzy przed kilku laty zabezpieczyli ocalałe fragmenty murów, a dzisiaj przywracają im pierwotny kształt. Praca wszystkich tych załóg i ośrodków stanowi całość organiczną i nierozrwalną. Tak, jak całość nierozrwalną stanowi dobrze pojęty szacunek dla przeszłości i troska o przyszłość. Na Starym Mieście wdycha się to z powietrzem.

— Jedną z głównych tez konserwatorskich — powiedział nam profesor Biegański — jest włączenie Starego Miasta do nurtu życia współczesnego. Pieczołowicie zachowując historyczne i artystyczne wartości budynków, przystosujemy ich wnętrza do wymogów współczesnych.

W praktyce oznacza to: centralne ogrzewanie w Kamienicy Baryczków, przedszkole na Zapiecku, nowoczesne wyposażenie wszystkich domów mieszkalnych Starego Miasta.

„SĄ DWIE MIEŚCIE...”

Na Freta zatrzymujemy się przed Barbakanem, rozmawiamy z sędziwym majstrem, później mijamy mury obronne i wchodzimy na wąską, zaśniewaną kładkę. Idziemy skrajem, bo spoza zakrętu ukazuje się część belki, później wesoła twarz dźwigającego belkę młodego robotnika, później nadchodzi drugi i trzeci, wszyscy z takimi samymi belkami, i wszyscy kierują się na kładkę.

Po lewej stronie — rozbiórka zniszczonego domu, po prawej — budowa. A przed nami, na rynku, mrowisko: sterty cegieł, wozy i konie, ludzie pracujący na ziemi i na rusztowaniach, trochę gołębi, mrużący transporter, kiosk „Ruchu”, i jeszcze stalowe przęsła, przy których uwija się „żelazna brygada” Henryka Groniewicza. Nad wszystkim zaś — ogromniejący jeszcze bardziej w średniowiecznych proporcjach Starego Miasta — wielki dźwig. Cieszą się nim wszyscy. obsłużyć może wszystkie domy na rynku, na ogromną łapę — dwie tony bierze taką łapą — a szczególne usługi oddaje w rekonstrukcji tak charakterystycznych dla

DŹWIG NA STARYM MIEŚCIE

Napisał: ARTUR MIĘDZYRZECKI

Zdjęcia: CAF

OD WIELU dni żyję Starym Miastem. Rano chodzę po rynku, niepokoję dwóch siwowłosych inżynierów, albo komisję nowych metod pracy, albo któregoś majstra. Papierosy kupuję w spółdzielni przy ulicy Piwnej. Poznaję wielu ciekawych ludzi. Pamiętam ich dobrze i obiecuję sobie znowu ich odwiedzić. Przodownicę pracy Józefę Jackowską spotkam może w mojej dzielnicy: jesteśmy muranowskimi sąsiadami. Innych zobaczę raczej na Starym Mieście: Sapięgę, Bryka, brygadzystę Kaczmarskiego, posadzkarza Patera.

Około trzeciej wychodzę ze Świętojańskiej albo Piwnej na Plac Zamkowy, raz jeszcze oglądam nowy gołębnik, zastanawiam się dlaczego nie jest z niego zadowolona opiekunka staromiejskich gołębi — Majchrzakowa; a później, gdzieś w mieście, zadaję najrozmaitsze pytania ludziom, którzy żyją Starym Miastem nie od wielu dni, ale od wielu lat.

Wieczorem grzebię w książkach i starych tekstach. Wtedy jest mi najtrudniej zabrać się do pisania. Czuję, że reportaż o Starym Mieście powinien być podróżą w głąb czasu i w głąb ziemi. W warstwach dawnej architektury, w portalach i sklepieniach drzemia naj-

odleglejsze dzieje Warszawy, historia ludzkich pokoleń. Ale to nie wszystko. Stare gotyckie cegły, które trzymali w rękach piętnastowieczni murarze, wędrują dzisiaj do nowych dłoni, troskliwych i mocnych. Dzięki nim właśnie, w ogromnej odbudowie Starego Miasta spotykają się dwa wzruszenia: wzruszenie dawnością i wzruszenie przyszłością. Pierwsze — to uczucie znane wszystkim miastom. W tym domu — mówią ich mieszkańcy przybyszowi — w roku takim a takim...

Ale to drugie wzruszenie, wzruszenie przyszłością, nie jest jeszcze przywilejem wszystkich ludzi. Dobrze znają je natomiast ci, którzy budują nowe dzielnice i wiedzą, że dzisiejsza makieta architektów jutro staje się rzeczywistym Mariensztatem, rzeczywistą Trasą W — Z, rzeczywistym Placem Konstytucji. Jest to wzruszenie miast nowego świata — wzruszenie Warszawy. A jednocześnie, tysiące warszawskich murarzy, którzy trudzą się dla przyszłości swego miasta — wracają mu jego najdawniejszą historię.

„RZEKŁO WIELMOŻNE KSIĄŻĘ...”

„Rzekło wielmożne Książę Mazowieckie ubogiej rybaczce, która go łaknącego strawą nasyciła:

— Tym dzieciom bliżnim ja będę ojcem chrzestnym. Niech chłopiec zwie się WARSZ, a dziewczyna SAWA — zatoczył władczą prawicą — Skarczować każe i zaorać te ziemie i dam je w uprawę Warszowi i Sawie. Z pracy ich rąk stanie tu wieś. Ze wsi gród wyrośnie nad inne grody.

„Kobieta, słuchając, wielkimi oczami patrzyła nie na książęcia, na wodę: widziała jak z fali wiślanej wstaje uśmiechniona Panna Wodna, opiekunka przyszłego grodu Warsza i Sawy, nieśmiertelna, przyjazna ludziom dusza Wisły, i słucha pilnie słów książęcych...”

Legenda o Warszu i Sawie jest bardzo riękna, ale miasto zbudować muszą ludzie. Murarz, cieśla i malarz, kamieniarz, rzeźbiarz i kowal. Kiedy powstała Warszawa? W końcu XIII albo w początkach XIV wieku — odpowiadają historycy. Tutaj następuje jednak nie aprobujące milczenie, ale żywa dyskusja. Jaka to była Warszawa? Kto ją budował? Profesor Arnold wystąpił niedawno z hipotezą, według której miasto założyli przybysze z Pomorza: mieli opuścić Gdańsk w latach rzezi krzyżac-

*) Ewa Szelburg Zarembina — „Legendy Warszawy”.



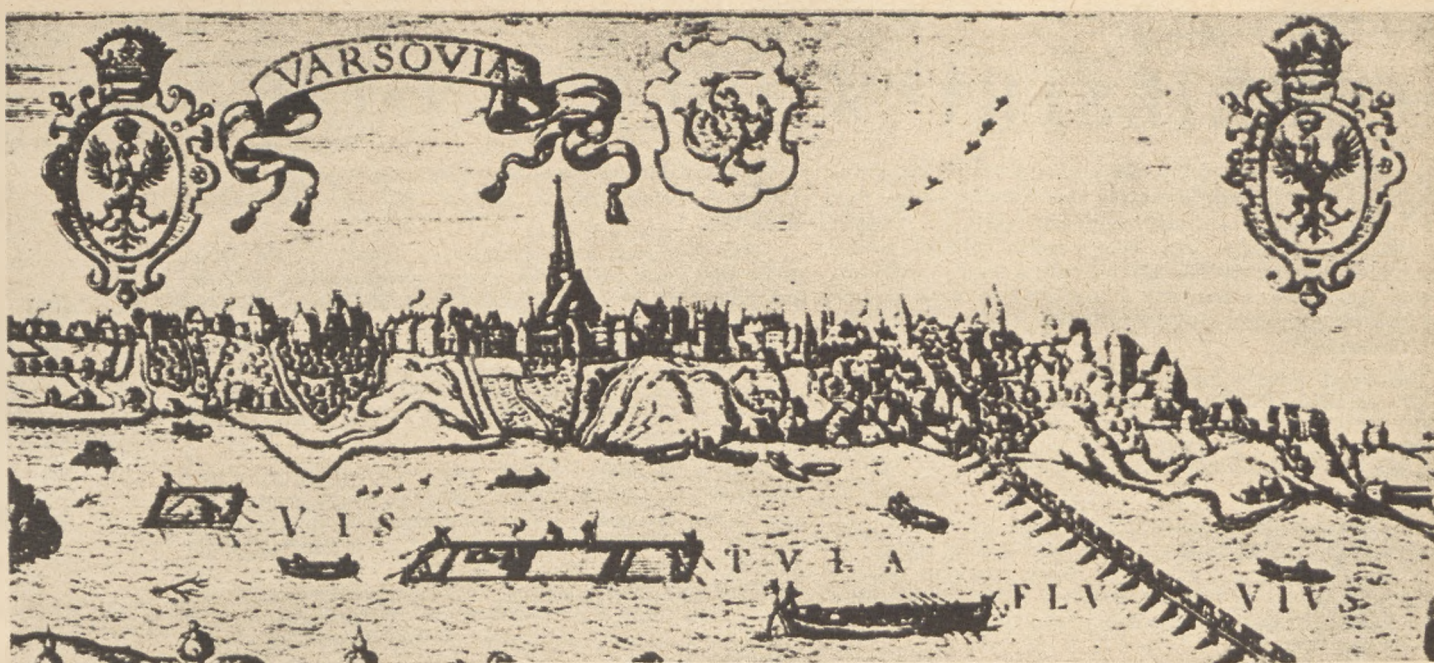
Rynek Starego Miasta. Odbudowane kamienice po stronie Kółkajtaja. Tutaj właśnie

rynku nadbudówek — „gołębników“, które w języku fachowym i bardziej ścisłym nazywają się „latarnie“.

„Są dwie mieście od siebie oddalone, jedno murowane, które zowią Stare Miasto, a drugie drewniane, które zowią Nowe Miasto“ Lakoniczny ten opis pochodzi z roku 1564. W roku 1953 są również „dwie mieście“, oba odbudowywane z gruzów i zgłiszcz wojennych. W Mieście Starym, w kamienicy Fukiera, posadzkarz Stanisław Pater z Żoliborza zakłada parkiety. Szachownicę z dębiny w jednej sali, w drugiej — łączne kwadraty z jaworu, dębiny i brzoštu. W szczelinach — listwy z czarnego dębu, klejone starannie i zmuennie.

Fukierowska strona rynku wyszła z ziemi i pnie się w górę. Nie jest łatwo „wyjść z ziemi“ na Starym Mieście. Gotyckie piwnice mają czasem dwie albo trzy kondygnacje, układanie ich jest trudną robotą. Majster Wiśniewski uważa, że czas poświęcony niektórym piwnicom zajmuje jedną trzecią czasu budowania całego domu. Obchodzimy z nim jeden z budynków strony Kołłątaja, narożny, przyszłą pocztę. Dalej jest znany gotycki portal i Fukier, jeszcze dalej — na rogu Wąskiego Dunaju — kamienica Książąt Mazowieckich. Dźwig stoi w innej części rynku, po stronie Barsa. Murarze Starówki żartują: „Strona Barsa robi bokami“. Idzie o to, że odbudowa bocznych kamienic strony Barsa posuwa się szybciej. Tempo robót na rynku jest zresztą sprawą dosyć szczególną. Każdy dom rekonstruowany jest na podstawie dokładnej historycznej dokumentacji. Wymaga to nie tylko wszechstronnych badań archiwalnych, wymaga również wysokich kwalifikacji zawodowych całej załogi Starego Miasta. Nie ma także na Starym Mieście szerokiego frontu pracy, jaki charakteryzuje wszystkie nasze osiedla. Ulepszone metody pracy polegają tu przede wszystkim na odciążeniu murarzy od wszelkich zajęć pomocniczych. Podobnie jak na innych placach budowy walczące o czas brygady Starówki — walczą również o jakość robót. Tutaj jednak jest to jednocześnie walka o nowy urok Starego Miasta, o wierność historycznej tradycji.

Strona Dekerta, z kamienicami Montelupich, Kurowskich, Szlichtingów, Baryczków i Gizów, będzie muzeum tej tradycji. We wszystkich tych budynkach pomieści się Muzeum Historyczne Warszawy.



Widok ogólny Warszawy. Drzeworyt Brauna z XVI w.

Budowniczo Starego Miasta przyszedli na Zapiecek i Rynek od strony Wisły, od odbudowanych kamienic ulicy Młostowej i rusztowań ulicy Piwnej. Ich trud codzienny oznacza wielką rekonstrukcję średniowiecznej sieci ulic i staromiejskich zabudowań, przywódzi na myśl ludzi i wydarzenia. Każdy dom tutaj jest przypomnieniem.

Starszy Cechu Szewców „Warszawskich“, pukownik Jan Kiliński, mieszkał na Szerokim Dunaju w domu pod nr 5. Na ulicy Świętojańskiej mieszkał w latach 1656—1661 hetman Stefan Czarniecki.

Na ulicy Piwnej 13 znajdował się najstarszy warszawski szpital, założony w roku 1442 przez Annę Mazowiecką.

Na Rynku, w kamienicy Książąt Mazowieckich przebywał w roku 1361 — po ucieczce z niewoli krzyżackiej — książę litewski Kiejstut. W domu nr 22 mieściła się pierwsza w Warszawie szkoła malarska. W domu nr 21 umierał Kołłątaj...

W iluż domach Starego Miasta ludzie myśleli o przyszłości, troszczyli się o nią, prowadzili o nią walkę wiodącą do naszych dni!

Dawna Warszawa to był nie tylko Fukier, Baryczka i możliwe rody patrycjatu. Było to również nieludzkie życie głodnych i ubogich. Stanisław Trembecki pisał w końcu wieku XVIII:

„O miasto! cóż są twoje częstokroć palące?
Izami dobrych zlepiane ubogiego prace,
a gospodarze onych, najczęściej bez cudu,
piją krew i żrą ciało jęczącego ludu...“

Po roku 1775, Franciszek Salezy Jezierski stwierdzał w „Niektórych wyrazach“:

„Była niezbyt dawno w Polsce komisja wyznaczona do rozporządzenia szpitalów; nie przystąpiła do skutku...“ Kontrasty, które — w tym samym dziele — podkreślał Jezierski („widać np. dom dobrze murowany i znowu nędzny domek“) pogłębiały się z biegiem lat. W roku 1862, doktor Gregorowicz notował w książce: „Warszawa pod względem topograficznym, higienicznym i geologicznym“: Rynek Starego Miasta — „największe nieczystości, fetor, zgnilizna“. Podwale — „jatkę rzeźniczą, niedogodne, wąskie, ciasne. Brak przystępu

powietrza“. Kanonia — „wspólne podwórza, bardzo brudne, zanieczyszczone, smrodliwe“.

O nędzy warszawskich przedmieść pisali później Prus, Orzeszkowa i Konopnicka. A w obszernej pracy Stefana Dziewulskiego i Henryka Radziszewskiego, poświęconej gospodarstwu miejskiemu, a wydanej w roku 1915, czytamy: „Nie ma na zachodzie Europy miasta, które by posiadało tak złe bruki, jak Warszawa...“

„...Na usposobienie niechętnie, a częstokroć wrogle ze strony właścicieli nieruchomości natykała się sprawa zaopatrzenia domów prywatnych w wodociągi i urządzenia kanalizacyjne... Chodziło o to, że właściciele nieruchomości żadną miarą nie chcieli poczynić wydatków na przeprowadzenie u siebie kanalizacji wewnętrznych. Czy były to koszty tak olbrzymie...? Bynajmniej...“

„...Warszawa jest miastem analfabetów... bez nauki pozostaje około 20.000 dzieci, czyli niemal 1/3 część dzieci, oczywiście najbiedniejszych...“

Lud Warszawy uczył się jednak rozpoznawać wroga i walczyć z nim. Przez Stare Miasto przechodzili ludzie, którzy z tradycji Warszawy wzięli co najlepsze i najbardziej szlachetne. Na Rynku, w kamienicy „Pod Murzynkiem“, przemawiał do robotników Feliks Dzierżyński. Na ulicy Freta nr 16 wzrastała Maria Skłodowska.

Poeta starej Warszawy patrzył na wschodzące nad Rynkiem słońce. Napisał później:

„...Stare Miasto — to płomienna rzeka,
Wieża — to słupy ognia gorejące nad nim...“

Nie wiedział, że metaforę zastąpi o braz dni, w których Stare Miasto płonęło w faszystowskim ogniu, niosącym straszliwą śmierć ludziom i domom. W sierpniu 1944 roku, w domu Marii Cu-

*) Z wiersza Or-Ota (Artura Oppmana).

Balszy ciąg na str. 10



w domu Fukiera, posadzkarz Stanisław Pater układa starannie nowe, lśniące parkiety.



Zabytkowy Rynek powstaje z ruin i zgłiszcz. Dzięki codziennej wyteżonej pracy budowniczych Warszawy, nowa wizja Starego Miasta nabrała już realnego kształtu.



Dźwig stoi po stronie Barsa. Oddaje nieocenione usługi w odbudowie „Starówki“

ORKIESTRY W ŁACHMANACH

KIEDY w poprzednim numerze „Świata” omawiałem Konkurs Skrzypcowy im. Wieniawskiego, nie powiedziałem o wszystkim, co słyszał i widział w Poznaniu. Celowo, gdyż była i jedna bardzo smutna rozmowa, której treścią nie chciałem mieć radości treści Konkursu. Lecz oczy i uszy należy mieć czujne na wszystko, a także — współczujące. Dlatego tę rozmowę przypominę.

Rozmowa toczyła się w hotelu „Orbis”, po obiedzie, kiedy to czarna kawa stała się jak gdyby rzeką, na którą chętnie wpływa żaglowiec wspomnień pędzony podmuchami dymu tytoniowego. — Rozmówcą moim był austriacki muzyk, profesor Oskar Wagner z Wiednia.

Wiedeń: miasto wspaniałych i różnorodnych tradycji muzycznych, od Mozarta do Lehara... Miasto słynnych orkiestr Filharmoników, Symfonicznych, miasto opery i operetki, gdzie w Teatrze Wielkim można było usłyszeć opery Ryszarda Straussa, a w teatrze „An der Wien” operetki Jana.

— Czy życie muzyczne w Wiedniu dalej tak pięknie kwitnie?

Profesor Wagner zaspiewa się i raczej odmrukuje zawstydzony, niż odpowiada:

— Życia muzycznego w Wiedniu nie ma.

— Jaki?! Czyżby na przykład Filharmonicy przestali istnieć?...

— W sensie trwałości istnienia, przestali. Dokładnie: istnieją od wypadku do wypadku, od koncertu do koncertu. Filharmonicy, tak jak i Symfonicy, są prywatnymi instytucjami muzycznymi. Dawniej swój byt materialny opierały one na dotacjach społecznych. Dzisiaj społeczeństwo na dotację nie ma, a rząd subwencji dawać nie chce. W rezultacie orkiestry urządzają koncerty na własne ryzyko. Odbijają się 4 próby i 2 wykonania programu. Jeśli program chwyci, każdy z orkiestrantów, z zasady — wybitny muzyk, dostaje 200 szylingów. Potem myślą o następnym koncercie...

— Ile w takim razie dostaje dyrygent?

— A, ten zastrzega sobie z góry 10.000 szylingów.

— Nieźle! Zapewne równie dobrze zarabiają austriaccy kompozytorzy?

Profesor Wagner wzrusza ramionami ze zniecierpliwieniem. Dziwi się, że można zadawać tak naiwne pytania.

— Kompozytorzy austriaccy — mówi — nie zarabiają swą twórczością ani grosza. Stosunkowo niedawno ukończył 70 lat życia nasz Józef Marks, którego pieśni mają przecież światowe uznanie. Z okazji 70-lecia Marksa rząd Austrii ufundował mu pensję w wysokości 1800 szylingów rocznie, a szyling ma w przybliżeniu tę samą siłę kupna, co nasz złoty... — Można powiedzieć, że żyjemy wszyscy w kompletnej biedzie ratując się belferką.

Jednak nie mogę pojąć tego, co mówi profesor Wagner. Przecież w Wiedniu istnieje jedna z największych na świecie firm wydawniczych muzycznych: „Universal-Verlag”. Gdy Karol Szymanowski nie mógł liczyć na wydawnictwa w międzywojennej Polsce, ten właśnie „Universal-Verlag” w Wiedniu wydawał jego dzieła. Dlaczego więc „Universal” nie pomaga dziś w identyczny sposób austriackiemu kompozytorowi, Józefowi Markowski?...

— Bo „Universal” — mówi Wagner — nie jest już wydawnictwem austriackim.

— Nie rozumiem...

— To bardzo proste! „Universal” był zawsze spółką akcyjną, akcje wykupili teraz Amerykanie, więc „Universal” stał się wydawnictwem amerykańskim. Wydaje tylko to, co jest „modne” w Nowym Jorku czy San Francisco. Dzisiejszy kompozytor austriacki, który chciałby widzieć wyniki swojej pracy, musiałby za własne pieniądze wydać utwór i z własnej kieszeni opłacić prasę, która inaczej nie wydrukuje recenzji, no i wreszcie — zapłacić olbrzymie podatki, nakładane w Austrii na wszystko.

Profesor Wagner weiska gwałtownie papierosa w popielniczkę i wybucha:

— Niech pan zrozumie, że dzisiejsza muzyka austriacka jest celowo niszczone przez import amerykański, przez jazz i film, według ściśle handlowych prawideł zwalczania konkurencji!

— I wasz rząd nic na to?...

— Rząd nie interesuje się nami, nie daje ani grosza na sztukę! Nie ma w Austrii żadnych dotacji, subwencji, czy choćby tylko stypendiów. W naszej sławnej ongiś



Prof. Wagner na spotkaniu z polskimi przyjaciółmi.

Akademii Muzycznej kształcić się dziś mogą nie najzdolniejsi z młodych, lecz wyłącznie — najzamożniejsi.

— Więc musicie mieć wśród muzyków i bezrobotnych?

— Czy mamy?... 70% wiedeńskich muzyków orkiestrowych jest bezrobotnych! Tworzą zespoły uliczne, ale że wstydzą się wprost zebrać, przeto gdy grają, żony ich sprzedają na chodnikach widokówki. Taka widokówka kosztuje 1 szylinga, ale z każdego szylinga, z tego zarobku nędzarzy, rząd austriacki ściąga 60 groszy podatku.

Teraz ja jestem zawstydzony, jak ktoś wypytujący o jedzenie — głodnego. Milknę. Profesor Wagner zapala nowego papierosa, wzdycha ciężko i szepce, pół do siebie, pół do mnie:

— Nie jestem zawistny. Ale kiedy widzę polskie życie muzyczne, kiedy słyszę o Polskim Wydawnictwie Muzycznym, które nie tylko wydaje wszystko co komponujecie, ale w dodatku płaci honoraria autorskie, gdy słyszę o waszym szkolnictwie, o udzielanych przez wasz rząd subwencjach, stypendiach, nagrodach artystycznych — wówczas nie mogę oprzeć się uczuciu gorzkiej zazdrości.

JERZY WALDORFF

Dokończenie ze str. 9

rie Skłodowskiej na Freta, zginęli śmiercią żołnierską członkowie Sztabu Armii Ludowej. Dzisiaj, kiedy Stare Miasto powstaje z gruzów, jako trwałe dziedzictwo narodu — dom na Freta będzie tego dziedzictwa częścią najżywszą i piękną. Podejmą ją te same ręce, które odbudowały na rogu Mostowej i Bugaju budynek z pamiątkową tablicą. „W tym miejscu — czytamy na niej — dn. 18.III 1943, w zbrojnym starciu z hitlerowcami, padli bohaterzy wojownicy o wolną Polskę Ludową: Hanka Sawicka, założycielka i pierwsza przewodnicząca Związku Walki Młodych, oraz dowódca Gwardii Ludowej w Warszawie, ppłk. Jan Strzeszewski („Wiktor”) i Tadeusz Olszewski („Zawisza”). Cześć ich pamięci!”

Kamienicę na Mostowej odbudowała brygada młodzieżowa; nierozłączny, zgrany zespół, który przybył tu z Trasy W-Z, a teraz, z potokiem ludzi i sprzętu, przyniósł się na Rynek i stawia pocztę.

— To będzie nasz szósty budynek — mówi brygadzysta cieśli, Jan Kaczmar-ski.

Na młodzieżowej budowie cieśli jest pięciu, murarzy też jest pięciu. A co zrobili, to zrobili. I Kaczmarowski, który otrzymał w zeszłym roku Brązowy Krzyż Zasługi, śmieje się zuchowate, mądre oczy.

„BARZO KAMIENICE ŚLICZNE”

Jednym z problemów Rynku była sprawa polichromii. Przesadnie pstrę frontony z okresu przedwojennego nie należały do rozwiązań szczęśliwych: przytłaczały linię architektoniczną, nie odpowiadały stanowi historycznemu. Jak wokoło wszystkich spraw Starego Miasta, tak i wokół polichromii toczyła się ożywiona polemika, aż opracowano rozsądne i słuszne projekty. Freski, polichromie, elementy kamieniarskie, zło-czenia zrekonstruowanych budynków o-partę będą o solidną dokumentację i rzetelną pracę ludzkich rąk.

Ta praca również ma swoją tradycję, wspaniałą tradycję rzemieślników — artystów Starego Miasta.

Jeziński pisząc o starej Warszawie, która „ma w sobie rynek kwadratowy i na środku... ratusz”, wspominał, że warszawscy rzemieślnicy „w niektórych rękodzielnach równają się najpierwszym majstrom w Europie”.

A w taksie z roku 1646, która określała warunki pracy murarskiej, czytamy surowe upomnienie, „ażeby errory w budynkach nie było przez czeladź nie-umiejętną”.

Errory w budynkach rzeczywiście nie było, kamieniczki cieszyły przechodniów i przybyszów, a w „Gościńcu albo Opisanu Warszawy” z 1643 roku Adam Jarzębski pisał o warszawskim rynku:

„Barzo kamienice śliczne
W rynku, także i uliczne,
Błyszczą się od złota prawie;
Nie masz takich w Czersku, w Rawie;
Tu cnej Warszawy ozdoba;
Nie zmarnujeć jej chudoba!
Na nich dziwne rysowanie,
Frbami ukształtowanie.
Bogdaj zdrow każdy budował...”

W roku 1952, w wierszu o ludzie, który wejdzie do śródmieścia, poeta Polski Ludowej przyświadczał epocę budującej dobrą przyszłość narodu. Dawał jednocześnie wyraz stosunkowi naszemu do przeszłości; do tego, co w niej odrzucamy, i do tego, co z niej przyjmujemy z dumą i wzruszeniem:

„Dłoń mądrego murarza
spod rumowisk obnaża
cenniejszy od klejnotu
kamień naszego potu.
Z wiekowej go niewoli
potomna dłoń wyzwoli,
planem go uszlachetni,
włączy w Plan Sześćioletni,
zespalać formy,
dłoń, która łamie normy...”

*) Fragment wiersza Adama Ważyka „Lud wejdzie do śródmieścia”.

Na stronie Kołtataja wisi tablica z wynikami młodzieżowej brygady. Brygada murarska Sołtysa — 114 procent. Brygada ciesielska Kaczmarzkiego — 264 procent;

Brygada robocza Węglińskiego i Wilka — 246 i 186 procent.

Te procenty nie przyszły łatwo. Wy-starczy obejrzeć robotę cieśli i stawia-ny mur, skomplikowane wiązanie i beczkowe stropy z lunetami, żeby się o tym przekonać.

Na Starówce nic zresztą nie przyszło łatwo. Dzielnica była w roku 1944 jed-nym dymiącym pagórem ruin. Ocalały jednak nie tylko rysunki i plany, po-miary i fotografie. Ocalała również wo-la człowieka, potężniejsza niż kiedykol-wiek, nie cofająca się przed żadną ofia-rą. Nadszedł dzień, w którym zaczęło się odgruzowanie Starówki. Brał w nim udział Bolesław Bierut. Jego wy-po-wiedź z tego okresu pamiętają wszyscy budowniczowie historycznej dzielnicy. „Stare Miasto — powtarzają — musi być odbudowane w swojej pierwotnej szac-ie”. Chętnie opowiadają również o ro-ku 1947, o pierwszych pracach zabez-pieczających i przygotowawczych.

To była mozolna praca. Zastrzyki z cementu uratowały kamienicę Książąt Mazowieckich i fragmenty innych bu-dynków. Później przystąpiono do re-konstrukcji kamienicy „Pod Murzyn-kiem”. A w roku 1949 rozpoczęto odgru-zowanie Starego Miasta na wielką ska-lę. Wywieziono wtedy pół miliona me-trów sześciennych gruzu. Gdyby usta-wić w jednej linii naładowane tym gru-zem samochody-wywrotki, utworzyły-by one kolumnę o długości 1250 kilome-trów.

— To znaczy — oblicza inżynier Strze-lecki — trzykrotną trasę Warszawa — Zakopane.

W roku 1950 przystąpiono do plano-wej odbudowy Starego i Nowego Mia-sta. Przedmiotem rekonstrukcji jest tu 350 obiektów o ogólnej kubaturze zabu-dowy przekraczającej 1.000.000 m³. Pra-ce posuwają się naprzód z każdym dniem. Stare Miasto powstaje na nowo

wbrew wszystkim niszczycielskim si-łom, które chciały zetrzeć je z po-wierzchni ziemi.

KSIEGARNIE NA ŚWIĘTOJAŃSKIEJ

Pietyzm dla staromiejskiej tradycji wyraża się również w tym, co urbani-ści nazywają programem życia miej-skiego. Trzeba przecież ustalić lokaliza-cję szkół i sklepów, pocztę i restauracji, a wszystko stanowić będzie o takim al-bo innym układzie przyszłej dzielnicy. Zasadą przyjętą dla Starego Miasta jest lokalizacja historyczna.

Na Świętojańskiej, gdzie mieściły się księgarnie dawnej Warszawy, znów znajdują pomieszczenia księgarnie i anty-kwariatów.

Apteka będzie, jak niegdyś, na Rynku pod numerem 17.

W podziemiach Fukiera znowu będzie winiarnia, a w samej kamienicy — sie-dziba Związku Historyków Sztuki.

Po stronie Barsa mieścić się będą muzea Mickiewicza (dom nr 20) i Sło-wackiego (nr 18) oraz sklepy przemysłu ludowego, związane z Nowym Miastem rzemiosło artystyczne i oficyna zegar-mistrza.

Po stronie Zakrzewskiego wreszcie — projektowane jest urządzenie restaura-cji „Pod Bazyliżkiem” (domy nr 5 i 7).

Nowa wizja Starego Miasta nabrała dzisiaj realnego kształtu. Sprawili to i sprawia trud budowniczych Starówki — inżynierów i historyków, murarzy i cieśli, majstrów i podręcznych, plasty-ków i kamieniarzy. Pokolenie nasze przekaże Stare Miasto przyszłym poko-leniom. Tak jest wielki sens wielkiej pracy.

ARTUR MIEDZYRZECKI

KIEDY PATRZĘ NA PHENIAN...

MARIAN BIELICKI

Korespondencja własna „Świata“ z Korei

DROGA prowadzi między malowniczo rozrzuconymi pagórkami, to zbliżając się, to oddalając od toru kolejowego. Wzdłuż drogi od czasu do czasu ciągną się rzędy zburzonych domków i niedużych ziemianek, do których przenieśli się mieszkańcy zniesionych z powierzchni wiosek. Potem samochód wyskakuje na szczyt jednego z pagórków i oto przede mną, jak na dłoni rozciąga się panorama Phenianu.

AMERYKAŃSKA WOJNA

Zżyłem się już z widokiem tego pięknego niegdyś miasta, zmasakrowanego nieładem, a mimo to, ilekroć ogarniam jego panoramę, ilekroć przechodzę ulicami — czuję, jak dławí mnie wprost nienawiść.

Pamiętam ruinę Warszawy i wypalone dzielnice Wrocławia. Pamiętam i nigdy nie zapomnę pomników barbarzyństwa i zdziczenia hitleryzmu. Ale to, co widzę w Phenianie przekracza nawet te granice zbrodni, jakie osiągnęli burzyciele Warszawy. Można w Phenianie iść przez całe dzielnice i nie zobaczyć nawet sterzących odłamków ścian i kominów. Zmasowane naloty terrorystyczne burzą domy, potem burzą ruiny, potem biorą się za ziemianki. Bo celem amerykańskiej wojny jest wyniszczenie narodu.

Rozszarpane ciężkimi bombami leżą w ruinie wielkie i piękne dawniej gmachy. Oto tam rozbity Uniwersytet im. Kim Ir-sena, który był dumą i chlubą narodu koreańskiego. Oto na najpiękniejszym wzgórzu Phenianu, na Moran-bonie, zbombardowany gmach Muzeum Narodowego. Oto na jeszcze jednym wzgórzu ruiny siedziby rządu. A w dole, między wzgórzami, pustynia zryta lejami.

— Tutaj był targ — mówi mój tłumacz i przyjaciel Han i pokazuje miejsce, gdzie próżno byś szukał choć piędzi ziemi nierozszarpanej bombami lub pociskami. Ten bazar określali Amerykanie w swoich komunikatach, jako zbombardowany obiekt wojenny. Jakże okrutna jest wymowa tej pustyni, w mieście, gdzie zginęły tysiące ludzi.

Wędrówka po Phenianie, to wędrówka przez przeszłość. Jestem na placu przeorany bombami. W głębi wielki niegdyś gmach, rozbity w wielu miejscach. Tu była czternasta szkoła ludowa. Dwukrotnie nadlatywały amerykańskie samoloty i zrzucały dziesiątki ciężkich bomb. Potem w resztkach gmachu urządzono tymczasowy obóz dla jeńców wojennych. 20 sierpnia ub. r. nadleciały znów amerykańskie sępy i pod osłoną nocy rozpoczęły bombardowanie. Owej nocy zginęło dwunastu jeńców, a szesnastu zostało ciężko rannych.

— Od dłuższego czasu — mówi mi Han — Amerykanie ze szczególną zawziętością bombardują obozy jeńckie. Chcą się pozbyć świadków i byłych współuczestników zbrodni, boją się ich głosu dającego świadectwo prawdzie o ludobójstwie.

Powoli, z trudem lawirując między stertami gruzów i głębokimi wyrwami w ziemi, jedziemy przez część miasta, zwaną Inhyndi. Zatrzymujemy się przed resztkami jakiejś bramy i cmentarzyskiem spiętrzonych ruin. Tu była fabryka tytoniowa. Chon Kum-ok, wdowa po robotniku fabryki zamordowanym przez Amerykanów w okresie czasowej okupacji, pokazuje resztki fundamentów pokryte pagórkami rozbitych cegieł i mówi cichym, bezdźwięcznym głosem: tu właśnie był żłobek fabryczny, a tu klub, w którym występował nasz zespół artystyczny, a tu była hala, w której pracował mój mąż. Kobieta nie

placze na wspomnienie zamordowanego męża. Tylko w oczach jej, dotąd zgaszonych, zapala się jakiś groźny, pełen gniewu błysk.

Idę ulicą zabudowaną z jednej strony małutkimi domeczkami, skleconymi z resztek ocalałych po starych, zrównanych z ziemią domach. Po drugiej stronie ciągną się w dal setki leżów i tylko gdzieś tam sterczy komin, świadczący, że zanim nadlecieli piraci kwitło tu życie i wesołe koreańskie dzieci biegały tędy z radosnym śmiechem. Wiem już, że w całej dzielnicy zginęło podczas tamtego nalotu około dwóch i pół tysiąca ludzi, że w tej liczbie ponad tysiąc trzysta dzieci. Na dzielnicę tę spadło przeszło tysiąc bomb.

„PODZIĘKUJ W IMIENIU MOICH DZIECI...”

Na chwilę zatrzymujemy się przed domkiem, w którym mieści się Komitet Ludowy. Tu rozdzielane są dary przy-



Phenian, ofiara amerykańskiej wojny, żyje jednak i walczy w ukrytych pod ziemią warsztatach pracy. Nazajutrz po zwycięstwie w szybkim tempie ruszy odbudowa...

słane przez ludność krajów ludowej demokracji. Zebrała się spora gromadka kobiet, ale nie ma tłoku. Każdy ma wyznaczony dzień i godzinę, aby nie tracić czasu. Li On-nie — włóknarka — serdecznie ściska rękę urzędnika rozdzielającego dary. Otrzymała dla swoich dzieci ciepłe sweterki i parę butów. Kiedy dowiaduje się, że jestem gościem z Polski, na twarzy jej zakwita ciepły uśmiech.

— Jak wrócisz do kraju — mówi szybko, że tłumacz ledwie nadąza — to podziękuj w imieniu moim i moich dzieci.

— I w naszym też — odzywają się inne kobiety. Li On-nie głaszcze po głowie małą czarnowłosą dziewczynkę i mówi do niej: — Już nie będziesz marzła, bo nasi przyjaciele przysłali ci ciepły sweterek, ale pamiętaj, że musisz się teraz jeszcze lepiej uczyć.

Patrzę za nimi. Oto przechodzą między ruinami, wśród leżów, poprzez cmentarzysko domów i ulic. Matka i dziecko z bohaterskiego Phenianu. Idą na chwilę do swojej ziemianki, a potem matka pójdzie do swego warsztatu tkackiego, w fabryce ukrytej przed amerykańskimi piratami w jednym z podpheniańskich pagórków, a córeczka pobiegnie do szkoły odległej być może o dziesięć

kilometrów od jej mieszkania, mieszczącej się w ciemnej ziemiance. Bo w Phenianie ani w żadnym innym mieście czy wiosce koreańskiej nie widziałem ocalałych gmachów szkół. Z obłądną zaciekleścią bombardowali amerykańscy lotnicy szkoły, teatry, biblioteki, muzea. A mimo to nauka trwa i dzieci uczą się w zimnych nieraz i ciemnych ziemiankach, lepiej i pilniej niż przed wojną. Nie ma w Phenianie ani w żadnym innym mieście budynków fabrycznych, a mimo to ukryte w podziemnych korytarzach warczą maszyny i zręczne palce robotnic wykonują skomplikowane czynności produkcyjne.

Piszę dziś o Phenianie — mieście bohaterze, mieście, które wielokrotnie miażdżone amerykańskimi bombami żyje i tętni życiem. Oto przeraźliwie wyje syrena alarmowa. Jęklawy jej głos unosi się nad miastem obwieszczając nadlatujące samoloty. Ale tu, w mieście, ludzie nie przerywają zajęć. Lawirując między lejami śmigają samochody. Tylko czasem ktoś zadziera głowę i wpatruje się w niebo, gdzie wysoko ukryte

rzynę miasto, w którym nic nie ocalało, i widzę, jak ludzie spieszą do pracy, jak kobiety i dzieci zasypują leje na najważniejszych szlakach, jak dzieci idą do szkoły, choć droga jest daleka. Widzę, jak tętni życiem i pracą dla zwycięstwa — miasto zamienione przez bandytów zza Oceanu w cmentarzysko ruin.

PHENIAN — MIASTO, KTÓRE BĘDZIE

Czytałem gdzieś, że Phenian, to miasto, które było. Dziś widzę, że to nieprawda. Ze Phenian to miasto, które było, jest i będzie. Ze to miasto przetrwa okropności amerykańskiej wojny i przetrwa okres amerykańskiego barbarzyństwa. Phenian żyje i walczy w ukrytych pod ziemią warsztatach pracy, w ziemiankach. Wśród morza pheniańskich ruin nierzadko spotykam ludzi zajętych usuwaniem gruzów.

— Co robicie? — zapytałem Pak Se-hora, starego pheniańczyka, układającego cegły w równe stosy.

— Usuwamy gruz — odrzekł Pak. — Przecież trzeba przygotować miasto do odbudowy. Przyjeżdż do nas nazajutrz po zwycięstwo, a zobaczysz, co się tu będzie działo. Na tym miejscu — Pak Se-hor wskazał rozległe przestrzenie ruin — wyrośnie nowe, jeszcze piękniejsze miasto. Zbudujemy śliczne domy, i szkoły, i teatry, i fabryki.

Jakże pięknie brzmią słowa starego mieszkańca Phenianu o przyszłości tego miasta, wypowiedziane w dni zaciętych walk, gdy toczy się straszna, amerykańska wojna. Jakże mocna i twarda jest wiara wspaniałego narodu koreańskiego w zwycięstwo i pokój.

— Kiedy patrzysz na Phenian dziś, musisz zobaczyć równocześnie jego wizję przyszłości — mówią mi często moi koreańscy przyjaciele. A ja patrzę na Phenian oczami mieszkańca Warszawy — miasta, które podniosło się z gruzów, miasta, które przeżyło też epokę zwyrodnienia i barbarzyństwa. I dlatego odpowiadam moim przyjaciołom: — kiedy patrzę na Phenian dzisiejszy, widzę miasto piękne i wielkie, rosnące rusztowaniami tysięcy nowych budowli.

Byłem tam, gdzie rodzą się plany odbudowy Phenianu, Wonsanu i wielu, wielu innych miast, zmasakrowanych przez amerykańskich imperialistów. W małych, niewygodnych ziemiankach pochyleni nad planami inżynierowie wykreślają przyszłe wielkomiejskie arterie i projekty okazałych gmachów. Na szkicach widać piękne gmachy teatrów i wyższych zakładów naukowych. Inżynier No Sihv przygotowuje plastyczną makietę miasta. Jego palec wędruje ulicami makiety i głos drży, kiedy opowiada o pięknie mieszkań robotniczych tonących w słońcu i zieleni, o parkach, w których będą się znów bawiły pheniańskie dzieci.

— Byłem w Warszawie — mówi w zamysleniu inżynier Kan Nie-han. Widziałem, jak piękna jest wasza stolica. Opowiadałem, opowiadałem wszystkim o swoich przeżyciach, kiedy patrzyłem jak na gruzach i popiołach wyrosło wspaniałe, socjalistyczne miasto. My chcemy, aby Phenian był równie pięknym.

I wiemy, że tak będzie, bo o to walczy cały naród.

Kiedy wracam do Phenianu z biura projektów, jest już późny wieczór, gdzieś opodal huczą wybuchy bomb. Bandyci bombardują ziemianki, w których mieszkają nieugięci pheniańczycy. Ulicami na zgaszonych reflektorach mkną samochody z ładunkami na front. Gdzieś gwizdzą lokomotywy. Phenian żyje i walczy. Korea walczy i zwycięży.



Szttych przedstawiający pogrzeb Pięciu Poległych 2 marca 1861 roku na którym lud Warszawy zmanifestował wolę walki z caratem.

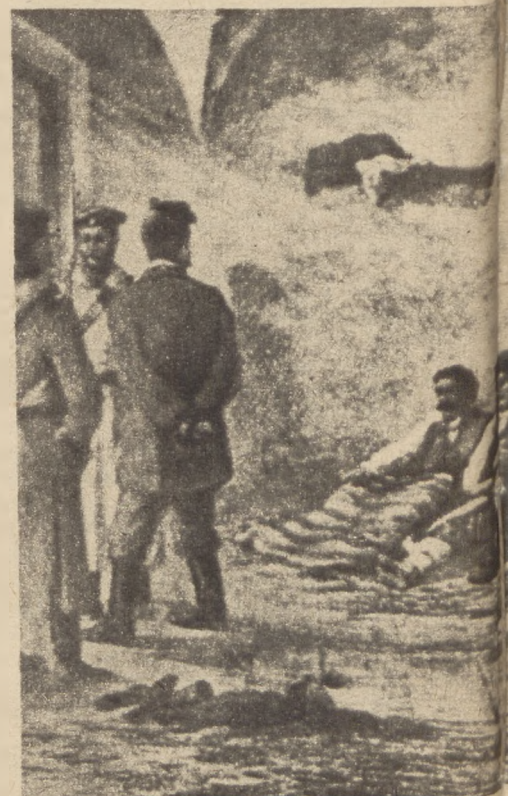
niegdzie znaleźć resztki tych wezwań. Szwarcie odczytywał je z satysfakcją: „Warszawa wkrótce ujrzy w swych murach sępów, którzy naszą ojczyznę rozszarpali...” tak zaczynała się odezwa.

Wezwania tych pierwszych kółek spiskowych znalazły posłuch. Zwykle rojne i gwarne miasto zbojkotowało monarchów, ulice ziały pustką i chłodem. W teatrze, w dzień galowego przedstawienia, rozlano cuchnącą cieć, a lożę cesarską tak wysmarowano błotem, że służba teatralna z trudem oczyściła ją w ostatniej chwili. Również i podczas spektaklu z galerii rozlano coś cuchnącego. Iluminacja Łazienek była podobno wspaniała, jednakże ciekawy zawsze widowsk lud pogardził teraz fajerwerkami: świadkami zabawy królów były drzewa z wałęsającymi się wśród nich policjantami.

Podczas przejazdu karet dworskich przez śródmieście, na gapiów czyhało niebezpieczeństwo: patrole patriotów oblewały ubrania kwasem siarczanym, a zbyt wystrojonym damom obcinano ogony sukien. To samo działo się przy uroczystym zakładaniu kamienia węgielnego pod żelazny most na Wiśle. Większe skupienie publiczności wydarzyło się dopiero na dworcu Wiedeńskim, podczas odjazdu cesarza austriackiego. Zebrana młodzież pożegnała tam Franciszka Józefa grzmiącym, skandowanym okrzykiem: „Vive Solferino et Magenta!” Policja nie rozumiała oczywiście o co chodzi, ale dygnitarze i dworacy trzech władców omal nie pomdleli na tak głośne przypomnienie dwu miejscowości, pod którymi Austriacy doznali klęsk od sprzymierzonych armii francusko-sardyńskich. Wreszcie skradziono z wagonu cesarza tekę z pieniędzmi i papierami. Pieniądze zostały zwrócone, papiery przepadły...

Najwymowniejsze jednak były napisy „Garibaldi” — na ścianach, murach, płotach.

Już po zamieszkaniu w Białymstoku, gdzie pracował na linii kolejowej, Szwarcie dowiedział się o uroczystości urządzonej przez akademików warszawskich w rocznicę listopadową. Przyjezdni z Warszawy opowiadali mu, że w kościele Karmelitów na Lesznie zebrało się mnóstwo studenterii i młodzieży rzemieślniczej. Po nabożeństwie rozdawano wizerunki Kościuszki i Kilińskiego. Tegoż dnia, o zmroku, przed figurą Matki Boskiej na Lesznie zebrał się tłum ludu. Pod figurę przyniesiono stół, zapalono na nim lampy, a jakiś gruby i wielki mężczyzna zaintonował zakazaną pieśń „Boże, coś Polskę”, „Z dymem pożarów”, a wreszcie — „Jeszcze Polska nie zginęła!” Hymn narodowy odśpiewany był publicznie po raz pierwszy po roku 1831. To samo powtórzyło się później u Bernardynów i u św. Krzyża na Krakowskim.



Cytadela warszawska zapelniła się Wśród aresztowanych i wziętych do niewoli.

WARSZAWA ZAWSZE MŁODA

Napisał: STANISŁAW STRUMPH WOJTKIEWICZ

W LISTOPADZIE 1860 roku młody inżynier Bronisław Szwarcie doczekał się spełnienia swoich marzeń i przyjechał do Polski. Paryska firma Pereiry, zajmująca się budową kolei żelaznych, przeniosła inżyniera z Moraw na trasę budującej się kolei pomiędzy Białymstokiem a Grodnem. Jako syn powstańca z roku 1830 młodzieniec nie miał prawa wstępu na teren Królestwa Polskiego, ale firma znalazła drogę do rządu carskiego i wizę uzyskano. Serce młodego podróżnego przepełnione było wzruszeniem, kiedy pociąg zwolna toczył się wzdłuż parkanów i ruder ulicy Widok. Szwarcie stał w oknie i pochłaniał oczami miasto, o którym tyle w dzieciństwie słyszał od rodziców i innych emigrantów.

Na dworcu Wiedeńskim oczekiwała go tak liczna rodzina, że zajęła połowę peronu. Powracający do kraju syn emigranta był oszołomiony uściskami dopiero co poznanych mężczyzn i kobiet. Tragarze wzięli kuferek, po czym całe towarzystwo, odprowadzane uważnymi spojrzzeniami żandarmerii stacyjnych, ruszyło na miasto.

Przecinając ulicę Marszałkowską, Szwarcie rzucił okiem na lewo, na parterowe domki z ganeczkami i płoty pomiędzy nimi. Ku południowi domków było mniej, więcej za to drewnianych płotów i żółknącej zieleni.

Tymczasem tragarze znikli w bramie z napisem „Hotel Wiedeński”, a reszta towarzystwa weszła pomiędzy parkany ulicy Widok i przez wąską furtkę dostała się na posesję pani Heurich, ciotki Bronisła, gdzie mieszczaństwo warszawskie podejmowało „Francuza” obiadem. Dopiero tu Bronis mógł się dokładniej przyjrzeć kuzynkom i ciotkom, wujom i stryjkom oraz babce

Gerlachowej, wdowie po stolarzu, dawniej właścicielce zajazdu, już zastąpionego przez Hotel Europejski.

Młody inżynier pałał chęcią wybrania się na miasto. Niby w pielgrzymce poszli większą grupą na Przejazd, do dawnego gniazda Szwarców. Bronisław obszedł z dwu stron Arsenał, zdobywany ongiś przez ojca Józefa, miłośnie objął starą lipę, stojącą koło domu „pod Lipką”, a później dał się skuścić na lampkę wina u Wolfina przy ulicy Długiej.

W dniach następnych przebiegał przestrzenie od pamiętnych wałów i redut wolskich po Wisłę, od sławnego z Nocy Listopadowej Belwederu po otoczony przekupkami wodotrysk na Starym Mieście, a zapuścił się również między wątle zagaje Olszyny Grochowskiej, do ojcowego pola bitwy pod Białoleką i pod mury Cytadeli, gdzie tulały się bolesne echa udręki księdza Ściegiennego, Levitoux, Kamińskiego...

Obraz Warszawy wciąż nastroczał myśli o historii, a więc o bitewnym bohaterstwie, więziennym cierpieniu i o wciąż gorzkiej niedoli ludowej. Na Długiej, pośród rezydencji magnackich, stał dwupiętrowy dom rewolucjonisty Lelewela, teraz uczonego wygnańca, zamkniętego pośród ksiąg w skromnej brukselskiej izdebce. Naprzeciwko, w gmachu ojców Paulinów, mieszkał i pisał drugi bojownik o prawa polskiego ludu, Mochnecki.

W domu babki Szwarcowej, „pod Lipkami”, można było obejrzeć uratowane z Arsenалу pamiątki — m. in. zardzewiałe kosy raclawickie.

— „Tu była ulica Mysza... tu urodził się Kraszewski... stąd odbył się jeszcze za króla wzlot pierwszego balonu... tu, z tych lwów, przemawiali mówcy ludowi, gdy w

pałacu Namiestników obradował listopadowy Rząd Narodowy...” — słuchał objaśnień.

Inżynier nieraz przystanął na placu Akademickim, przy zapatrzonym w gwiazdę polarną Koperniku, i arkadach pałacu Staszica; odwiedził dziadka Malcza w dawnej trzypiętrowej jego kamieniczce, rozdzielającej z przyległymi domami Krakowskie Przedmieście na dwa wąskie nurty, a sławnej z księgarni Olgerbranda; obejrzał na pałacu Namiestnikowskim starożytne figury, zdjęte z dawnej bramy Krakowskiej na placu Zamkowym; pochwalił w duchu Teatr Wielki oraz wiele innych gmachów Corazzi’ego; zajrzał wreszcie do wnętrza pałacu Błękitnego, gdzie napisała najpiękniejsze dzieła babka Hoffmanowa; wreszcie dał się zaprowadzić na ulicę Grzybowską, gdzie na podwórzu posesji Przygockiego stał posąg króla Kazimierza Wielkiego, wyrzucony z przedsieni pałacu Staszica w roku 1833... Chodził, oglądał i przeżywał swój powrót do Warszawy. Z kolei zaczął się przyglądać żywym ludziom.

Jesień 1860 roku była w Warszawie niepokojna. Niedawno odbył się tu zjazd cara Aleksandra II z cesarzem Franciszkiem Józefem i przyszłym królem Prus, Wilhelmem. Miasto pełne było komentarzy na temat przebiegu niedawnych uroczystości, które zgromadziły roje książąt, dygnitarzy trzech państw zaborczych i korespondentów z całej Europy. Z dumą stwierdzono, że tym razem Warszawa zademonstrowała wrogą postawę wobec cara. Hasło padło od nastrojonej radykalnie młodzieży akademickiej i rzemieślniczej. Wezwano, aby ludność nie uczestniczyła w obchodach i powstrzymała się od wychodzenia na ulice. Na murach i płotach pojawiły się plakaty nawołujące do okazania carowi obojętności. Jeszcze i teraz można było gdzie-

Szwarcie wiedział już wtedy, że tego rodzaju demonstracje urządzi młodzież rewolucyjna, wyzyskująca dla swoich celów obchody kościelne i zwyczaj śpiewania hymnów. Lud warszawski w lot zrozumiał intencje młodzieży i na razie walczył z cieniem jak mógł: śpiewaniem, pochodami, drwiną... Zwolna utrzymywała się w inżynierze przekonanie, że od czasów Kilińskiego i Lelewela nic się w Warszawie nie zmieniło — lud jej był wciąż nieujarzmiony, duchem wolny, rewolucyjny. W starych murach odnajdywał wciąż tak samo młodych ludzi.

W tragicznych dniach lutowych, kiedy nadeszły z Warszawy pierwsze wiadomości, młodzieńcowi zaszumiła krew w sercu i głowie. Krzywdzono lud Warszawy, strzelano, zabijano! Podobno niezłęknięte tłumy stały na chodnikach ocierając się o strzelających żołnierzy — a środkiem ulicy niesiono i wieszono pokrwawione trupy, rannych... Rzekomo książe Gorczakow wystraszył się i wywiesił na zamku biało-czerwoną chorągiew... Wojsko przechyliło swe uczucia na korzyść ludu... Rewolucja?

Opowiadano te rzeczy na dwunastym wiośnie za Białymstokiem. Roboty przerywano. Szwarcie rozejrzał się wokoło. Otaczał go milczący tłum kopaczy zaciskających mocno łopaty i kilofy. Staremu droźnikowi, inwalidzie z bitwy pod Dobrem, latały ręce. Młodzi technicy palającymi oczyma wpatrywali się w inżyniera. Sapiać podjeżdżał od Białegostoku parowóz: z daleka było widać, jak maszynista powiewa kartką.

— Do inżyniera, do inżyniera... — zawołano i kartka przeszła do Szwarczego. To urzędnik ruchu z Pragi zawiadamiał o tworzeniu się Delegacji Ludowej mającej wnieść protest przeciwko rządowi carskim. Szwarcie odczytał głośno treść pisma, a wśród techników zawołano, że inżynier musi jechać. W tłumie rozległ się szmer aprobaty. Inżynier szybko przebrnął zaspę i wsiadł na parowóz. Zanim parowóz ruszył, młody człowiek podniósł w górę czapkę i zawołał: „Niech żyje Polska i Warszawa!“ Okrzykiem tym utwierdził swą nową pozycję: przywódcę najbardziej zapalonych patriotów na budowie linii Białystok — Grodno.

W Warszawie zastał niebawem ruch. Na ulicach wrzało. Pierwszy zapytany przechodzień skierował go do Resursy Kupieckiej koło placu Rymarskiego. Jednopiętrowa popielata kamienica, schowana za budynkami ulicy Senatorskiej, kłębiła się od ludzi. Tłumy wchodziły i wychodziły. Lica jaśniały, gwar pannał nie do opisanego. To tutaj, na trzy dni przed Nocą Listopadową, podchorążowie ustalili podczas balu datę tamtego wybuchu...

Teraz w olbrzymiej, zakopconej sali wrzało inaczej. Przemawiali nieznani lu-

dzie. „Jurgens!“ — informowano — „O, Apolli Korzeniowski, ten w sukmanie!“ „To Asnyk?“ „Nie. Asnyk po uwolnieniu wyjechał.“ „Cicho, cicho — teraz nasz Denel! Wpuszczono go!“ Istotnie — to mówił stary dziennikarz Denel, jakby odmłodzony, wywołany z dojrzałej powściągliwości. Wołał o działanie natychmiastowe, stanowcze. Inni zalecali ostrożność i rozwagę. Oratorzy zmieniali się co chwila — śpieszono się z wyrażeniem myśli, namiętności, pomysłów.

Warszawa poczuła się wolna! Mówiono, że książe Gorczakow wysłał rodzinę do Dreżna, a bagaże dla bezpieczeństwa umieścił w Cytadeli.

Tymczasem tłoczeni ludzie wymieniali informacje. Prawda dni ostatnich wyłoniła się szybko. Lud Warszawy miał zamiar manifestować w rocznicę bitwy na polach Grochowa, ale ruszanie łodzi na Wiśle przeszkodziło temu. Dnia 27 lutego uformował się więc na Lesznie pochód i ruszył ku Staremu Miastu. Ludzie chcieli iść przed Zamek i żądać uwolnienia więźniów. Policja z oberpolicmajstrem Trepowem szła za rosnącymi tłumami. Na Długiej, Gołębiej, Świętojańskiej szpilki by nie wetknął, tak zwarta była ciżba. Na placu Zygmunta III wkroczone zbitymi szeregami, tu jednak kozacy galopem uderzyli na tłum, rozpędzając nahażkami idącą na czele procesję, ale stając bezradnie wobec zwartej masy ludzkiej...

A dalej potoczyły się wypadki lawiną... Pogrzeb wychodzący z kościoła Bernardynów — wzięty był przez kozaków za procesję; porąbano krzyże; zalegające śródmięście tłumy — wzięto w rotowy ogień rozwścieczonego generała Zabołockiego, który bił salwami w ścianę ludzką, wypełniającą całe Krakowskie Przedmieście...

— Widziałem dwu żołnierzy rosyjskich, jak zrzucili mundury i krzyknęli, że nie chcą służyć carowi! — opowiadał sklepikarz z Bednarskiej.

— Na placu Saskim oficerowie ułanów odzywiali się z pogardą o Zabołockim... — stwierdzały jakieś dziewczęta.

— Koło Trębackiej dwu oficerów rosyjskich wołało do żołnierzy, żeby strzelali w górę...

— Dużo Rosjan zdejmowało czapki, kiedy wieszono zabitych...

— Rewolucja! — osądził Szwarcie i wspominał na dni lutowe w Paryżu: lud mocno dmuchnął i Ludwik zleciał z tronu... a tron spalono wśród powszechnego śmiechu...

Sąsiedzi inżyniera już dowiedzieli się, że dopiero co przybył z Białegostoku. Wypchnięto inżyniera na przód, niemal wrzuceno go na estradę. Po raz pierwszy w życiu poczuł na sobie tysiące czujnie wlepionych oczu. „Białystok, Białystok mów!“ — tubalnie ogłaszał barczysty student Nowakowski. Szwarcie podniósł rękę. Uciszyło się. Mówca jeszcze przed chwilą nie wiedział, co powie, ale jedno z opowiadań stryjeczka Jana Szwarczego wiązało się szczególnie z chwilą obecną.

— Trzydzieści lat temu feldmarszałkowi Dybiczowi bardzo było gorąco pod Grochowem... Lud warszawski przysłał wtedy do polskiego obozu chorągiewki z napisem „za naszą i waszą wolność walczymy!“

Dostał okrutne brawa.

— Otóż — ciągnął pokrzepiony oklaskami — pozatykano te chorągiewki na forpocztach... Kozacy pokusili się zaraz o nie i porwali w triumfie, ale kiedy je przywieźli do swego obozu, to zamiast nagrody od swoich dowódców — wzięli plagi... Dybicz bał się tych chorągiewek!

Zabrzmiął powszechny śmiech.

— Później kozacy bojaźliwie omijali te chorągiewki... — kończył Szwarcie. — Włec moja rada taka: rewolucja...

— Powstanie, powstanie! — odpowiedziano mu chóralnie.

— Rewolucja! Rewolucja! — zabrzmiało jak burza.

— Rewolucja! — zawołał z ogniem Szwarcie. — Nie żadne prośby i adresy wiernopoddanicze, lecz prawdziwa rewolucja! Zbrójm się! Sto tysięcy zbrojnego ludu przełamie sześć tysięcy wojska! Wielu z nich pójdzie z nami! Zbratajmy się z żołnierzem rosyjskim, to chłop, taki sam jak nasz!

Projekty Szwarczego utonęły w ogólnej wrzawie. Spocony inżynier słuchał teraz mówców następnych. Dokoła częstowano cygarami i trunkami — to dzierzawca mo-



Nocą, ukradkiem, wyprowadzono ze szpitala św. Rocha zwłoki zabitych w czasie demonstracji ulicznych w Warszawie. Dano im honorową eskortę złożoną ze spiskowców.

nopolu, przezorny bankier Kronenberg, na wszelki wypadek fetował lud. Rozdawano krepę na opaski. Inżynier wyszedł. Na placu Teatralnym młodzi czeladnicy chórem śpiewali zrodzoną w ostatnich dniach piosenkę:

Na Starym Mieście, przy wodotrysku,
Pułkownik Trepow dostał po pysku...

Wojska i policji nie było widać. W drodze na Widok Szwarcie obejrzał w hotelu Europejskim pokryte kirem katafalki pięciu poległych. U wejścia do narożnego salonu na pierwszym piętrze stała straż honorowa, złożona ze studentów medycyny. Salon był obity krepą. Przed katafalkami przesuwali się tłumy posepnej ludności. Niekiedy przewijał się skupiony żołnierz lub oficer rosyjski, solidaryzujący się z ludem. W hotelu i w cukierni hotelowej Conti'ego opowiadano, że powstaje delegacja, która opracuje projekt samorządu miejskiego, a prawo głosu otrzymać mają wszyscy pracujący na siebie samodzielnie. W hotelu, na ulicach i w kościołach zbierano pieniądze i złoto na „cel narodowy“. Ofiary syły się obficie.

W domu na Widok triumfalnie powitały go rozplomienione, przejęte kuzynki.

Z rozmów z nimi inżynier dowiedział się najwięcej. Były poinformowane o wszystkim. Akademików nazywały w skrócie „miki“. Nicie porozumienia opłatywały całą młodzież warszawską, a więc i te dziewczęta.

Student szkoły Sztuk Pięknych, Nowakowski, mieszkał z Jankiem Heurichem — a to przecież on z Szachowskim urządził nabożeństwa i obchody! Młodzi Frankowscy drukują odezwy, młodzi Rolscy gromadzą broń... Kuzynki bywają na wieczorach tanecznych razem z nimi, więc i o nich najlepiej wszystko wiedzą!

— A najśmielszy z nich — to Ignasz! — szeptała z zachwytem Teodorcja. — On kiedyś zabije samego cara, zobaczysz, kuzynie!

— Co znowu za Ignasz? — nadstawił ucha Szwarcie.

— Chmieliński... Kochał się w kuzynce Emilii, zanim jeszcze wyszła za Władzia Jeskiego! Ależ ty o niczym zupełnie nie wiesz!

— Lepiej byłoby, żebyście i wy wiedziały jak najmniej! — przestrzegał Szwarcie.



Spiskowcy białostocki z naczelnikiem swym, inżynierem Bronisławem Szwarcem (pierwszy z siedzących od lewej). Obok niego siedzą: Alfred Jasiński i Tomasz Pisanko.



w czasie powstania ofiarami represji carskich. Było wiele kobiet walczących z zaborcą.

Dozakończenie w numerze następnym



Wspaniały polonez z pierwszego aktu baletu.

„ŚPIĄCA KRÓLEWNA”

NIEDAWNO otwarta została w Moskwie, w Teatrze Wielkim, wystawa, poświęcona historii jednego z naj-sławniejszych baletów świata — „Jeziora Łabędziego”. Balet ten został skomponowany przez Piotra Czajkowskiego w roku 1877, a więc 76 lat temu.

Nieco wcześniej, nim otwarto wystawę, Teatr Wielki Opery i Baletu w Moskwie dał w nowym opracowaniu drugi sławny balet Czajkowskiego — „Śpiącą Królowną”. Podobnie jak i pozostałe jego balety „Śpiąca Królowna” była wynikiem współpracy kompozytora ze znakomitym choreografem tego okresu, Mariuszem Petipas, który napisał baletowy scenariusz.

Scenariusz ten porwał Czajkowskiego tak dalece, że tworzył muzykę do „Śpiącej Królowny” prawie jednym tchem. Partytura gotowa była w niecałe cztery miesiące.

A jednak, choć powstały w okresie najwyższej dojrzałości twórczej Czajkowskiego, tuż po V Symfonii, balet „Śpiąca Królowna” został potraktowany

przez krytykę dosyć lekceważąco. Ot sobie bajeczka dla dzieci... — W istocie krytyka tamtych czasów nie dostrzegła ukrytej w baśniowej treści myśli utworu — głębokiego, ogólnoludzkiego morału. Przecież wróżka Karabos jest uosobieniem sił zła, a wróżka Bzu uosobieniem sił dobra. W treści „Śpiącej Królowny” pokazana jest walka tych dwóch sił i zwycięstwo dobra nad złem. Pragnienie szczęścia i dążenie do przezwyciężenia wszystkiego co przeszkadza w jego osiągnięciu — oto myśl przewodnia baletu.

Choreografowie M. Gabowicz i A. Messerer, którzy opracowali na nowo „Śpiącą Królowną” dla sceny moskiewskiej, włożyli duży wysiłek w to, by owa idea przewodnia została należycie i jasno uwypuklona w cyklu tanecznych obrazów. W rezultacie balet zachwycił widzów i wzruszył, stając się jeszcze jednym wspaniałym osiągnięciem Teatru Wielkiego w Moskwie.

JERZY GOGÓŁ



Znakomita tancerka L. Czerkasowa tańczy jako wróżka Bzu.



R. Struczkowa w roli Aurory.



Jednym z najpiękniejszych tańców baletu jest dziewczęcy taniec z kwiatami.

SZKOŁA W OKULARACH

CZYLI

DZIECI WYDARTE NOCY

MARIA MATUSZCZAK-BAŃKOWSKA

Zdjęcia: PAULINA KORNECKA

DZIŚ ma 12 lat. Wtedy w ich dom uderzyła bomba i wszystkich zasypała. Kazio miał 4 lata — i jest to jego pierwsze wspomnienie. Co było dalej — nie pamięta, był za mały. Wie tyle tylko, że ich odkopano, on żył, ale rodzice zginęli. Pierwsze Kaziowe wspomnienie nie da się jednak zatrzeć: wraz z życiem została mu dożgonna „pamiętka wojenna” — poważne uszkodzenie wzroku.

Babka pracuje, jest woźną. Wychowuje wnuka, jak potrafi najlepiej. Miała dużo gorzkich chwil, gdy Kazio poszedł do szkoły. Do zwykłej, podstawowej szkoły. Ani nie jest niezdolny, ani leniwy — w ogóle dobre dziecko. Ale cóż? W I klasie siedział 2 lata. W II — to samo...

Aż wreszcie nauka przestała sprawiać mu trudność. Przechodzi z klasy do klasy. Uczy się dobrze. Czyżby wzrok tak bardzo się poprawił? Niestety — nie. Ale stało się zupełnie co innego...

Na małym nosku — duże okulary. Po przez bardzo grube szkła oczy Leny wydają się ogromne. Niestety ich wielkość nie idzie w parze ze sprawnością. Ciężka sprawa: wrodzona, poważna wada wzroku.

Byłam w szkole dla niewidomych w Łaskach — opowiada o sobie — z trudem uczyłam się Braille'a... Potem w Instytucie Ociemniałych na Placu Trzech Krzyży... ale i tu i tam było mi smutno. Bo przecież ja widzę, może małątko, ale widzę! — Słowo „widzę” — akcentuję ze stanowczością, aż zastanawiającą u 11-letniego dziecka.

— No, a co było później, Leno? — Później mamusia próbowała posyłać mnie do zwykłej szkoły — i też było niedobrze. Bo na taką zwyczajną szkołę, to jednak widziałam za mało... Musiałam wychodzić do tablicy nawet z pierwszej ławki, żeby coś na niej zobaczyć, a i tak nie dawałam sobie rady.

— A teraz? — O! Teraz jest dobrze, tak najlepiej, jak tylko... — szuka najwyższego znanego sobie superlatywu, ale nie znajduje odpowiedniego słowa. Wszystkie wydają jej się za mało przekonujące.

Te króciutkie życiorysy, zebrane na chybił-trafił spośród kilkudziesięciu, nie wyróżniają się w tym gronie niczym szczególnym. Te przykłady są właśnie typowe.

Poważnie zagrożone oczy dzieci, to — w znacznej części — skutki wojny bezpośrednie czy pośrednie; następstwa przebytych chorób; częściowo — wady wrodzone u dzieci alkoholików obciążonych dziedzicznie; częściowo wreszcie przyczyn dotychczas nie stwierdzono. I wciąż powtarza się to samo: wzrok „za dobry” (na szczęście) aby powiększyć grono ociemniałych w specjalnych zakładach, zbyt zły — jak na rozwój i naukę w normalnych warunkach szkolnych. Pozostaje — zawieszenie w próżni, między normalnym biegiem dni — a wieczną nocą.

Złe mówię: nie — pozostaje, a pozostawało.

PODSTAWOWA SZKOŁA OGÓLNO-KSZTAŁCĄCA NR 11 — białe litery na czerwonym szyldzie. Nikt niewtajemniczony nie mógłby przypuszczać, że kryje się za nimi cokolwiek innego, niż za tysiącami takich szyldów rozsiadanych po miastach, miasteczkach i wsiach polskich. A jednak ta właśnie szkoła, istniejąca w Warszawie od końca 1950 roku, jest jedyna (na razie!) w swoim rodzaju. Grupuje ona wyłącznie dzieci niedowidzące, których ostrość widzenia już po korekturze szkłami wynosi od 1/4 do 1/20 (!) normalnego wzroku. Lekarze szkolni skierowali je tu ze

zwykłych szkół. Było im tam za ciężko — a ich wzrok skutkiem nadmiernego wysiłku stale się pogarszał. Przyszły też dzieci niedowidzące ze szkół i zakładów dla ociemniałych — tam czuły się tak bardzo odcięte od świata barw — a przecież nie były niewidome!

I jeśli cierpliwy Czytelnik dotarł aż do tego miejsca — to domyślił się już oczywiście, że w tej właśnie szkole skrzyżowały się drogi przywalonego bombą Kazia, Leny — której „Jest tu tak najlepiej, jak tylko...”, Basi Bończak — której częściowo wypalone wapiem oczy nie przeszkadzają w zawodzie nauczycielki, „przerośniętego” (fachowy język szkolny) Wasilewskiego i kilkudziesięciu innych takich Kaziów, Baś czy Wasilewskich.

Pierwszą rzeczą, która uderza nieobeznanego ze sprawą obserwatora, to widok gromady dzieci, spoza szerokich, grubych okularów spoglądających z zaciekawieniem na obcą twarz. Jasnokremowy i jasnozielony kolor ścian w klasach, jadalni i świetlicy — nie jest przypadkowy. Dobrano takie odcienie, wśród których słabym oczom jest najlepiej. Nie jest również przypadkiem ustawienie ławek: bliskość tablicy, odpowiedni kąt padania światła, rozmieszczenie dzieci — wszystko jest wynikiem skrupulatnych badań i obliczeń. Wszystko tutaj, w tej szkole, odbywa się pod kątem pomocy słabym oczom dziecięcym. I wszystko ma jeden cel: umożliwić tym dzieciom udział w normalnym życiu.

Zajrzyjmy na chwilę do rozłożonych na pulpitach zeszytów: niejednemu kaligrafowi mogłyby się zjeżyć włosy na głowie! Każde dziecko stawia litery i cyfry takiej wielkości, jaka odpowiada jego oczom.

Ale za to na maszynie piszą pod dyktando tak, że nie powstydziliby się niejedna zawodowa maszynistka: ślepą metodą i wszystkimi pięcioma palcami! To nie tylko ułatwienie w nauce: to przecież równocześnie przygotowanie do zawodu.

O, właśnie. Tu tkwi drugie zadanie tej jedynej w swoim rodzaju szkoły. Pierwsze — to przyswojenie dzieciom normalnego zasobu wiedzy w zakresie szkoły „podstawowej. Niesposób tu pominąć faktu, że dzięki specjalnym metodom pedagogicznym — troskliwej opiece nauczycieli i lekarzy nad każdym dzieckiem z osobna — szkoła przerabia normalny, nie zmniejszony program zwykłych szkół podstawowych. A dzieciom nie nastrocza to większych trudności, niż ich rówieśnikom w zwykłych szkołach.

Ale pomówmy chwilę o tym drugim zadaniu: przygotowaniu do zawodu, do samodzielnego życia. Najściślej współpracą nauczycieli i lekarzy — czuwająca nad dziećmi w szkole Nr 11 — daje wyniki doskonałe. Dzięki niej można ustalić z idealną niemal dokładnością, jaki jest kierunek uzdolnień dziecka i jaki w danej dziedzinie zawód będzie ono mogło wykonywać bez uszczerbku ani dla wykonywanej pracy, ani dla chronionego dosłownie „jak oko w głowie” — skarbu — wzroku. Pisanie na maszynie, zaczątki stolarki na lekcjach robót, skromne załączki krawieczyny lub innych rzemiosł w improvizowanych pracowniach (lokal okazał się za szczypty w stosunku do szybkiego rozwoju szkoły) — wszystko to wskazuje jasno, jak na dłoni, że ze szkoły wyjdą nie — kaleki, lecz ludzie przygotowani do aktywnego udziału w normalnym życiu społeczeństwa.

Po dokładnym zapoznaniu się z zamiłowaniami, zdolnościami i możliwościami wzrokowymi — część dzieci skieruje się dalej do szkół zawodowych, część do szkół przysposobienia przemysłowego, a część...

— Dawny nauczyciel wiejski, dziś — kierownik szkoły Nr 11, Bruno Krakowski, mówi o „swojej” szkole z żarliwą pasją: —

— „a część będzie mogła przejść do normalnych szkół ogólnokształcących i dalej — na wyższe uczelnie. Wzrok wielu dzieci się poprawia. Bo my tu nie tylko uczymy, nie tylko przygotowujemy do zawodu, ale — leczymy, bez przerwy leczymy!”

I to jest właśnie szkoły trzecim zadaniem. Nad jego spełnieniem czuwają lekarze nie wypuszczający dzieci spod swojej wnikliwej, fachowej i zarazem serdecznej opieki.

Przed 20 laty grupa okulistów — lekarzy szkolnych i społeczników doszła do wspólnego wniosku: aby uchronić dzieci słabowidzące od wyłączenia z szeregu normalnych ludzi, aby ocalić je przed zepchnięciem w podwójną noc: ciemnoty fizycznej i umysłowej — konieczne jest stworzenie specjalnej placówki.

No i cóż? Oczywiście nie udało się — wtedy. Bo i rzeczywiście — po co? Po co burżuazyjny rząd miał łożyć na specjalną opiekę, leczenie i kształcenie garstki dzieci słabowidzących, kiedy nie miał co zrobić z milionami dorosłych „niepotrzebnych ludzi” o najwspanialszym nawet wzroku?

Czy dzieci z poważną niedomogą wzroku jest w ogóle dużo? Na szczęście — nie; przeciętnie około 0,3 promille. Ale i dla tej garsteczki nie żałuje się ani wysiłków, ani starań, ani pieniędzy, aby uczynić z nich normalnych ludzi. Szkoła Nr 11 rozwiązuje ten problem w zasięgu stolicy i najbliższych okolic. Ponieważ — jako eksperyment — zdaje swój egzamin „na piątkę” — nie pozostanie przypuszczalnie na terenie Polski „jedynaczką”.

Naszą najbardziej palącą potrzebą — jest internat przy szkole. A marzeniem — duży zakład gdziekolwiek w Polsce — z internatem, szkolnymi warsztatami, pracowniami, „jedenastolatka” i przedszkolem — powtarzają to po kolei wszyscy pracownicy warszawskiej szkoły — lekarze i pedagodzy.

Cóż, w ciągu ostatnich lat widzieliśmy nie jeden raz własnymi oczyma jak tego rodzaju marzenia stają się rzeczywistością. A „szkoła w okularach” — czyż nie jest właśnie tego dowodem?

Niewtajemniczony obserwator — jeśli znajdzie się w murach szkoły na

Na lekcjach* robót — zaczątki stolarki, krawieczyny i innych zawodów. Szkołę ukończy młodzież przygotowana do normalnego, aktywnego życia w społeczeństwie.



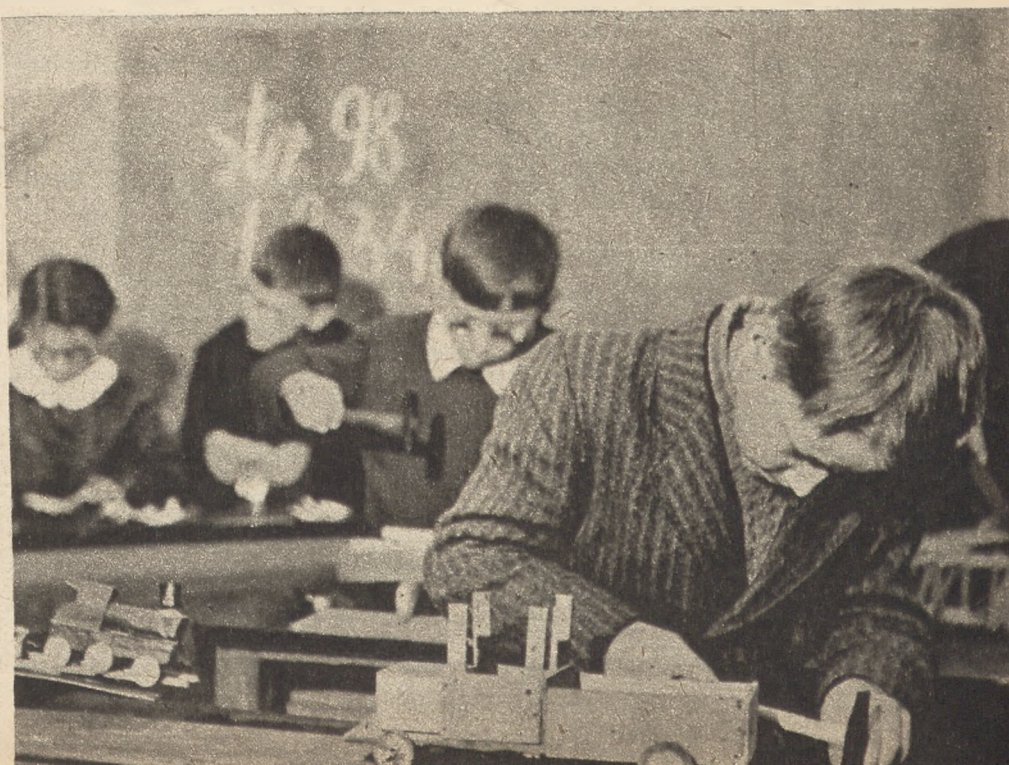
Pisanie na maszynie ułatwia naukę oraz stanowi cenną kwalifikację zawodową.



Ten piękny pies bardzo chętnie gra rolę „pomocy naukowej” na lekcji biologii.

Tamce — nie tak łatwo spostrzeże, co odróżnia ją od innych, zwykłych szkół. Te same śmiechy i hałasy w czasie pauz. Ten sam gwar, jaki cechuje wszystkie zbiorowiska dzieci. Ten sam żywiołowy pęd do życia i nieusuświadomiona radość z tego, że się żyje.

I to jest szkoły sukces bodaj największy: dzieci — którym odjęto uczucie urośnięcia, dzieci — którym przywrócono dzieciństwo, dzieci — które wydarto nocy.



Główny tytuł (8)

STANISŁAW KOWALEWSKI

Ilustr. BARBARA PNIEWSKA

— Jest tu jeden dziennikarz. Ma pisać o tych sprawach — mówi Olaf i wskazuje Petersenowi i Jernepowi na reportera.
Kormoran przez cały czas stoi obok i wygląda, jakby dotąd czekał odpowiedzi na postawione przed kilkunastu minutami pytanie.

Petersen patrzy na niego podejrzliwie.

— Z jakiej gazety? — pyta Olafa.

— Z „Arbejdet Posten“.

Petersen nagle podchodzi blisko do reportera.

— Czy pan przypadkiem nie nazywa się Piotr Kormoran?

Zaskoczony reporter wyjmując fajkę z ust, przygląda się nauczycielowi. Wygląd Petersena nic mu jednak nie mówi.

— Tak. Jestem Piotr Kormoran — potakuje tylko.

Petersen patrzy na dziennikarza przez dłuższą chwilę.

— Postarzał się pan — stwierdza.

Kormoran wzrusza ramionami.

— Pewno tak. Ale skąd pan, przepraszam...

— Byłem w 43 trzymany przez Niemców w więzieniu Świętej Anny. Wtedy i pan tam był. Pokazywali mi pana z daleka wiele razy. Wtedy w całym więzieniu dużo się o panu mówiło.

Kormoran jest wyraźnie zakłopotany.

— I poznał mnie pan teraz? — rzuca. Dzwonne. No, dobrze to czasem spotkać dawnego towarzysza niedoli — wyciąga rękę do Petersena, a ten ją ściska długo i z uszanowaniem. Potem Petersen zwraca się do ludzi:

— Tego dziennikarza ja znam — woła. — Piotr Kormoran, redaktor tajnego pisma za okupacji. Więziony i katowany przez hitlerowców — przerywa, w jego głosie drży wzruszenie. — Temu człowiekowi możecie ufać — woła jeszcze.

Kormoran stoi zaskoczony. Milczy, nie potrafi ani słowem zareagować na to, co mówi nauczyciel. Patrzy tak, jak przed chwilą, na stojących przed nim ludzi, a jednak ich nie spostrzega. Wygląda dziwnie, jakby słowa nauczyciela sparaliżowały całą jego przedsiębiorczość, cały spokój i pewność działania.

Ale ludzie tego nie widzą. Dla nich jest po prostu człowiekiem, którego przed chwilą się bali i otaczali nieufnością, a teraz chcą mu wynagrodzić swą niechęć i wrogość.

Kilku, a między nimi Olaf, podchodzi do dziennikarza z wyciągniętymi dłońmi. Kormoran ściska podane ręce.

— Pytaliście, panie, dlaczego stawiamy opór, dlaczego bronimy cmentarza — teraz Olaf odzyskuje swobodę wymowy. — Widać, żeście nie tutejszy. Nie znacie naszych spraw.

Kormoran powoli przychodzi do siebie, zaczyna spostrzegać otaczających go ludzi, słyszeć ich słowa.

— Wojska radzieckie przyniosły nam tu wolność. Ci żołnierze polegli o tu, na tych zboczach. Tu powinni leżeć na cmentarzu, tu o nich pamiętamy i nie zapomnimy. Jakże to! Chcą ich wyrzucić z naszej ziemi? Po hitlerowsku to. Jak hitlerowcy.

Olaf podnosi głos. Chce, by nie tylko dziennikarz, ale wszyscy obecni słyszeli jego argumenty.

— Jak hitlerowcy, albo Amerykanie — dodaje Jernen. — Za czyją to sprawą te wyczyny?

Kormoran odzyskuje już spokój i panowanie. Postanawia dalej prowadzić rozgrywkę.

— Zaraz, zaraz — przerywa Jernepowi. — Wkradło się tu masę nieporozumień i stąd całe zamieszanie.

Teraz dziennikarz zwraca się do wszystkich:

— Ludzie — woła — ujmujecie się za słuszną i piękną sprawą. Za honorem naszego narodu. Bo to nie tylko sprawa waszej wioski i waszej gromady. Tylko, widzicie, nie wiem jak do tego doszło, ale ja widzę w całej waszej akcji jedno wielkie nieporozumienie. Czy nasz rząd choć przez chwilę chciałby znieważać pamięć poległych żołnierzy?

Ludzie pilnie patrzą na mówiącego. Gdyby nie świadectwo nauczyciela Petersena, wiedzieliby, co sądzić o słowach dziennikarza. Teraz jednak stoją zaskoczeni, zmieszani. Czyżby całe ich wystąpienie pozbawione było sensu? Czyżby starzy rybacy, i drwale, i chłopci dali się unieść tylko naiwnie szlachetnemu porywowi?

Kormoran mówi dalej. Wie, że powinien posyłać tym ludziom słowa mocne i zdecydowane. Tylko takie słowa mogą mieć tu wagę, tylko takie słowa odpowiadają temu wyobrażeniu, jakie w tej chwili mają o Kormoranie. I dziennikarz, tłumiąc w sobie wahanie, postanawia z tego kredytu zaufania skorzystać.

— Rząd tworzy wielki cmentarz-mauzoleum na wyspie Luna, gdyż w ten sposób chce uczcić pamięć poległych.

— Chwileczkę — przerywa Kormoranowi Tomasz. I dziennikarz milknie. — Dlaczego to rząd, który tak, jak mówicie, panie, chce pięknie uczcić pamięć poległych, wysłał do robót ekshumacyjnych zgraję wyrzutków, którzy niszczą groby, łopatami tną ciała poległych? Dlaczego cmentarze zrównują z ziemią i pomniki wysadzają w powietrze?

Kormoran z pozornym spokojem słucha tych wyrzutów. I gdy tylko Tomasz kończy, dziennikarz zaczyna:

— Tak, jak mówiłem. Ta sprawa to jedno wielkie nieporozumienie. Buntujecie się.

przeciwko niegodnym wybrykom jakichś lokalnych kacyków. Różni ludzie są u nas w kraju, nie wszyscy szanują Rosję Radziecką, niektórzy się jej boją, inni nienawidzą. Nie zapominajcie, że w naszym kraju żyli i działali zdrajcy pracujący z Hitlerem.

Teraz zapada milczenie. I znów wtrąca się Tomasz.

— A teraz ci sami zdrajcy idą na pasku amerykańskim.

Kormoran macha ręką, jakby odpędzał uprzykrzoną muchę.

— To prawda, że nasz rząd oddał pewne tereny na bazy amerykańskie. Ale łączyć tę akcję z akcją budowy baz, to zwykła demagogia.

Ludzie słuchają dziennikarza z uwagą, czujnie. Czy ten człowiek nie kłamie? Czy naprawdę można mu ufać? Niektórzy w cichości ducha już zdają się skłaniać ku argumentom Kormorana.

Olaf szarpie swoją rudą brodę. Czuje zmienne, niepewne nastroje gromady. I sam zaczyna się wahać. Czy nie lepiej dać posłuch słowom dziennikarza, skapitulować z honorem wobec jawnej przemocy i wrócić do żony, do dzieci, do kuźni i spokojnej codzienności. Nie przeciągać dłużej tej historii, nie czekać na ostateczność, na nieszczęście, które może trafić w całą gromadę. I w niego samego. Więzienie i rozprawa o bunt, to nas czeka — uprzytomnia sobie Olaf i na myśl o więzieniu czuje lodowaty drższczyk.

I znów z tłumy wybiega głos Tomasza.

— Nie rozumiemy tu, panie, jednego. Jeśli nasz rząd ma pakt z Amerykanami, jeśli oddaje porty i wyspy dla lotnisk amerykańskich, to chyba wiadomo, po co to czyni. Czy pan, panie dziennikarzu, wierzy w to, że ten sam rząd, który ma pakt z Amerykanami, chce specjalnie uczcić pamięć radzieckich żołnierzy? Że tylko dlatego tworzy ten cmentarz na wyspie? Ja jestem prosty drwal i ja w to nie wierzę.

Zaraz po tych słowach słychać ostry głos kobiety.

— I ja nie wierzę. Rząd chce nas oszukać.

Ludzie obracają się, patrzą zaskoczeni. To Marta, córka starego drwala Folda. Cóż to za obyczaje, żeby młoda dziewczyna przemawiała do całej gromady i w imieniu całej gromady? Wielu starszych patrzy na Martę z niechęcią. Ale ona mówi nierównym, falującym od wzruszenia głosem:

— Nie wierzę rządowi nic, a nic!

I ludzie stoją w rozterce. Czy rację ma Tomasz, czy dziennikarz.

Ale Olaf znów odzyskuje pewność. Woła:

— To, co wyczyniają, te niszczenia cmentarzy i pomników, to jak, bez wiedzy rządu? Ej, myślę, że rząd o tym dobrze wie, a może sam kazał tak właśnie robić.

Kormoran podnosi rękę ku górze, jakby chciał tym nadać uroczystą wagę własnym słowom. Coraz trudniej mu bronić tej sprawy, ale raz jeszcze zaczyna:

— Rząd nie wie, nie może wiedzieć o jakichś pojedynczych wybrykach. Więcej, chcę was zapewnić, że tu ja sam dopilnuję, ja sam będę wobec was za to odpowiedzialny i nie dojdzie do żadnych barbarzyńskich wyczynów.

Szanse zdają się przeważać na stronę dziennikarza.

— Tu nie ma co rozważać. Miejsce złe — Tomasz wskazuje na kręcących się obok aut policjantów. — Część niech zostanie na straży przy bramie. My pójdziemy w głąb cmentarza, pod pomnik. Naradzimy się, co robić, a wam, panie, dziękujemy za to, coście tu powiedzieli.

Tymi słowami, jakby z góry, w sposób delikatny, ale stanowczy, wyklucza obecność dziennikarza na zebraniu gromady. I Kormoran tak to rozumie. Kilku starszych popiera Tomasza i choć wielu już stąd, wprost od bramy, chciałoby skierować się do domów, jednak cała wielka gromada udaje się w głąb cmentarza, w stronę, gdzie srebrzy się wysmukła sylwetka pomnika.

Marta nie idzie ze wszystkimi. Skręca w bok. Posuwa się przez pewien czas przy ogrodzeniu i kiedy napotyka po drodze na duży, obrosnięty mchem głaz, siada na nim. Pochyla się i długo w zamysleniu patrzy na cmentarz, na mający czuć w księżycowej poświacie rząd ciemnych, pękatek ciężarów. Z miejsca, gdzie siedzi, widać dobrze tłum

ludzi stojących przy obelisku, głosy raz słabsze, raz silniejsze dobiegają do niej, choć nie rozróżnia poszczególnych słów.

— Jeszcze trochę, może godzinę, może dwie i rozejdą się do domów, do żon i dzieci — to zdaje się nie ulegać dla Marty wątpliwości.

Przyjechała gromada uzbrojonych policjantów, przyjechał dziennikarz, który tak szybko potrafił ludziom zawrócić w głowach. I oto cmentarz radziecki zostanie oddany.

Czy nikt już nie będzie bronił prawa zmarłych do ziemi, o którą walczyli?

Marta nie wierzy już tym, którzy najgłośniej wołali o obronę cmentarza. Uczciwi, wszyscy są uczciwi, pewno i ten dziennikarz też jest uczciwy, choć nie wierzy mu ani słowa. Ale ulegną, mają już dosyć oczekiwania i dalszego oporu. Wygasła w nich wola walki, choć przecież są uczciwi. Widać — tacy są ludzie. Widać tacy są — myśli Marta. — Co teraz robić? Czy, kiedy wszyscy opuszczą ten cmentarz, trzeba i samej stąd odejść? Czy nie będzie to zdradą wobec tych, którzy tu spoczywają?

Czy uśmiechnięta Tania telegrafistka, i lejttnant Wasyl Surkin, i młody Anton Bewziuk taką naukę dali Marcie w czasie długich godzin, spędzonych wśród małych, czerwonych obelisków?

Ich radość, i mądrość, i zawziętość uczyły przecież jednego — walczyć do końca o sprawiedliwą, słuszną rzecz.

Więc jakże ma walczyć Marta. Sama jedna, słaba dziewczyna. I w dodatku istnieje tamto, o czym stara się zapominać, a co w tej chwili znów sobie z całą wyrazistością uświadamia. Czy może ryzykować własne życie i własną wolność? I zaraz sobie odpowiada — nie wolno ustąpić, kiedy się wie, gdzie jest słusność, nie wolno iść na podłą kapitulację. Tyle warte własne życie, tyle warta wolność. I taką właśnie musi mieć matkę ten, który przyjdzie. Matkę, która potrafi zasłonić sobą cień haniebnego ojcostwa. Która potrafi wychować dumnego syna czy córkę.

A więc jak? Zostać tu samej na cmentarzu. Walczyć do ostatka z tymi, którzy przyjdą, by spełnić podłą powinność.

Czy naprawdę Marta ma walczyć samotnie? Nie, to chyba tylko chwila niegodnej słabości i zwątpienia. Czyżby Agnes, wiernej przyjaciółki, nie zatrzymała Marty w porę przed dokonaniem szaleństwa?

Marta unosi głowę. Patrzy na tłum stojący przy pomniku. Słyszy różne głosy, słabsze i silniejsze.

Jest zdecydowana. Trzeba wracać do ludzi. Trzeba radzić razem z nimi i dołączyć swój głos do tych nielicznych, którzy będą za słuszną, sprawiedliwą sprawą.



Olaf szarpie swoją brodę. Czuje zmienne, niepewne nastroje gromady i sam zaczyna się wahać.

Marta idzie powoli. Widzi zbliżającego się rosnącego mężczyznę.
To znajoma sylwetka.
Mężczyzna staje przed nią zadyszany.
— Szukałem cię wszędzie. Szukałem cię, Marta — mówi cicho.
Ona nie patrzy na niego. Twarz jej w ciągu jednej chwili robi się ponura i zacięta.
Nie chce słyszeć słów tego człowieka, nie chce go więcej znać.
— Byłem u ciebie w domu. A teraz przybiegłem na cmentarz, szukałem wśród ludzi — wyciąga rękę w jej stronę.
— Tam cię nie było, więc zacząłem szukać tutaj. Wiem, że lubisz się włóczyć licho wie gdzie.
Marta unosi teraz oczy. Znajduje w sobie dość siły, by spojrzeć w twarz człowieka, którego przecież kiedyś kochała. Oto droga przebyta od tak niedawna. Długa, długa droga. Patrzy teraz w oczy Ole i serce jej nie zadrży. Potrafiła odejść i zniszczyć w sobie tamto uczucie.
Teraz się uśmiecha. Tak, potrafi i to. Ole milczy zaskoczony. Nie poznaje oczu Marty, nie widział u niej takiego uśmiechu.
— Marto, ty nie uwierzysz — zaczyna. — Nie uwierzysz, ale ja ciebie wciąż Kocham. Tak. Ja za tobą tęsknię, Marta.
Przerywa i patrzy na dziewczynę, jakby chciał sprawdzić wrażenie jakie wywołają jego słowa.
— Ty nie uwierzysz — znów mówi. — Wymknąłem się z domu. Teraz, po nocy. Wszyscy będą wiedzieli, że pobiegłem cię szukać. Wszyscy. I rodzice, i ona... — Wyciąga znowu rękę do Marty. Nieśmiało, niepewnie. Czy pozwoli się dotknąć?
Ale Marta się cofa. Ole idzie za nią.
— Marto, musisz zrozumieć — i próbuje ją objąć.
Marta jednym ruchem wyzwała się z jego rąk.
— Idź sobie — rzuca krótko.
Ole wciąż wyciąga ku niej ręce. Teraz już bez nieśmiałości, raczej z pełną uporu złością.
— Co, nie chcesz już mnie?
I po chwili:
— Masz innego?
Z księżycowej mgiełki wysuwa się czyjś cień. Ktoś idzie w ich stronę. Lecz Ole tego nie spostrzega, stoi tyłem do nadchodzącego.
— Słuchaj, przybiegłem tu nie patrząc, co powiedzą w domu, co powie ona. Ty nie szalej, Marta. Wracaj do domu. Zaraz. Jutro tu wszystkim porachują gnaty. Wszyscy buntownicy pójdą do więzienia.
— To mi chciałeś powiedzieć? — pyta Marta.
— Tak. Żebyś się ratowała. Rzuciła tę bandę i to zaraz. No i... widzisz Marta, pamiętałem o tobie...
Ole nagłym ruchem chwytając obie jej ręce i przyciąga ją do siebie.
— Puść, puść w tej chwili — ostrzega go. Zbiera siły i mocnym szarpnięciem wyrwa się z jego ramion.
Woła do nadchodzącego mężczyzny:
— Proszę mi pomóc!
Tamten jest już przy nich.
— O co chodzi — pyta.
Ole staje zdumiony tą nagłą interwencją. Marta poznaje. Mężczyznę, który zatrzymał się przy nich jest dziennikarz Kormoran.
Niepokój każe mu wciąż, nieustannie wędrować w najbliższych okolicach cmentarza. Nie czuje zmęczenia, traci kontrolę płynącego czasu.
Marta zwraca się szybko do niego:
— Proszę, niech mnie pan odprowadzi, o, tam — wskazuje głową w stronę obradującej gromady.
Kormoran przez chwilę milczy zaskoczony, wyrwany z toku własnych, nekających wciąż myśli. Ale opanowuje się na tyle, by zrozumieć sytuację. Nie interesuje się Olem i mówi do Marty:
— Chodźmy.
Ole wściekły i zawiedziony teraz dopiero woła:
— Ty, Marta, dobrze się bawisz. Już wszystko rozumiem. Masz innego.
Kormoran nic nie mówi, przyciska tylko mocniej rękę dziewczyny.
— Ty, Marta, doigrasz się — ściga ich głos.
Odchodzą dalej. Marta nagle wysuwa rękę spod ramienia dziennikarza.
— Dziękuję panu — szepce.
Opiera się o płot cmentarny. Jest bardzo blada, w księżycowym świetle jej twarz wygląda teraz jak gipsowa maska. Tylko oczy ciemne, lśniące, żyją i czuwają. Kormoran stoi przy niej.
— Niech pani się uspokoi — mówi cicho, przyjaźnie. — Cóż ten gagatek, napastował panią?
— Och, nie, nie... — mówi Marta. — Zaraz się uspokoję.
Stoi chwilę w milczeniu, spuszcza nisko głowę i lekko drży. Początkowo dziennikarz nie orientuje się jeszcze, co to jest. Ale po chwili, kiedy ramiona Marty poruszają się nieopanowanie, Kormoran rozumie, że dziewczyna płacze. Czuje się bezradny. Pocięszając nieznajomą, która wezwała jego pomocy, tak, jak wezwęłaby w tej chwili każdego innego przechodnia? Nie, Piotr nie czuje się do tego powołany. Odchyla się już od placzącej, ale nie może jej tu zostawić samej. Więc stoi przy Marcie zakłopotany i trochę zły.
Dziewczyna powoli się uspokaja. Podnosi głowę i spostrzega dziennikarza.
— Pan jeszcze tu? Przepraszam. Myślałam, że pan już dawno poszedł — mówi schrypniętym, nieswoim głosem. — Nic nie szkodzi. Nic nie szkodzi — mówi wolno Kormoran. — Niech się pani zupełnie uspokoi. Wtedy panią odprowadzę do ludzi.
Księżyc świeci coraz jaśniej, zrobiło się chłodno, znikła opalizująca, zielonkawa mgiełka. Niebo jest ciemnoszafirowe, czyste, ziemia srebrnawa, biała, jak w śniegu.
Marta stoi bokiem do dziennikarza i patrzy przed siebie.
W dole leży wieś i przystań. Jest już późna noc, tylko z niewielu okien mrugają złote światła. Długi, cieniutki jak włos, strumień światła omlała monotonnie skały fiordu i zapada w morze. To czuwa daleka latarnia.
Kormoran dopiero teraz przygląda się stojącej obok dziewczynie.
— Czy to pani przemawiała przed bramą?
Marta obraca się spokojnie w jego stronę.
— Ja.
— Aha, aha — mówi Piotr i jeszcze uważniej przygląda się Marcie.
— Czy pani może mi powiedzieć, dlaczego pani jest za obroną cmentarza?
Marta milczy. Pytanie Kormorana pomaga jej na powrót zebrać własne siły, zapomnieć o załamaniu, któremu tak niegodnie uległa przed chwilą.
— Niech pani się nie obraża — mówi Kormoran, który nie rozumie milczenia Marty. — Jestem dziennikarzem, to mój obowiązek zawodowy wiedzieć jak jest naprawdę, po czyjej stronie jest słusność.
— Słusność? — dziwi się Marta. — Jakże, pan jest od paru godzin, rozmawiał pan z ludźmi, słuchał ich i nie wie pan, gdzie jest słusność?
Dziennikarz wyraźnie się miesza. Macha ręką, jakby odpędzał od siebie dopiero co powiedziane słowa.
— Żle się wyraziłem. Wasz odruch jest szlachetny i słuszny. Ale tak, jak wtedy mówiłem, uważam, że wszystko polega na nieporozumieniu. Dalsze trwanie w uporze sprowadzi na was nieszczęście.

Dalszy ciąg w następnym numerze

„ŚWIAT” przypomina!

Głos polskiego poety

W związku z wyrokiem śmierci na małżonków Rosenberga — przypominamy inne, podobne morderstwa sądowe, będące jedną z ponurych tradycji Ameryki. Tradycja ta sięga o wiele dalej niż proces Sacco i Vanzettiego. Sumieniem świata w roku 1859 wstrząsnął proces i stracenie w Charlestonie obywatela Stanów Zjednoczonych, Johna Browna, za dążenie do wyzwolenia Murzynów.

Cyprian Kamil Norwid wstrząśnięty tą wieścią poświęcił skazańcowi dwa wiersze. Znający dobrze stosunki amerykańskie poeta polski w zakończeniu drugiego wiersza pisał:

„Wkrótce już sędzię sami sobie skłamią,
By gwoździ dwanaście Ameryki zbladło;
Sprawiedliwości przepeknie zwierciadło —
Na czoło starca kapelusza zalamią,
Deskę usuną spod stopy zdradzonej —
On rzeknie: „Amen” i nogi skiniem,
Jak jeździec konia swego ze strażeniem,
Odepchnie cały świat zezwiercony!
I będzie plamą na słońcu czerwonym,
I plamą będzie na oku strwożonym.

Ah, Waszyngtonów i Kościuszków cienie,
Mężów, co z kończyn obcego narodu
Nianiczyć ci przyszli, Ameryko, zmlodu,
By nie znać cudzem cudze wyzwolenie,
Czy, patrząc z szczytów, gdzie jest źródło wzroku,
Cienie te czasem nie zmylą się raczej
I wołającym o pomoc, w rozpacz,
Czarny pokażą szlendar na obłoku —
A ludzie bladzi, stłumieni i cisi,
Rzekną, iż w Brownie Ameryka wisi”.

Prowokacja chicagowska 1886

Ci ludzie pod szubienicą to znowu ofiary wielkiej prowokacji policyjnej, która miała miejsce w Chicago w roku 1886. Podczas wielkiego strajku w fabryce McCormicka policja zaatakowała robotników. Byli zabici i ranni. 4 maja 1886 roku odbył się na placu Haymarket masowy wiec protestacyjny. Miał on przebieg zupełnie spokojny, gdy nagle na placu pojawiła się policja. Równocześnie niemal nieznany prowokator rzucił bombę. Policja zaś otworzyła ogień do tłumu. Padło wtedy wielu niewinnych ludzi.

W parę dni później aresztowano siedmiu najwybitniejszych działaczy robotniczych w Chicago. Choć żaden z nich nie miał nic wspólnego z bombą na pl. Haymarket, wszyscy zostali skazani: pięciu na karę śmierci, dwóch na dożywotnie więzienie. Jeden ze skazanych popełnił samobójstwo w celi, czterej zawisli 11 listopada 1887 roku na szubienicy. Był to oczywisty mord sądowy, objaw brutalnego terroru przeciw ruchowi robotniczemu, jak wiele podobnych spraw, których widownią były Stany Zjednoczone.

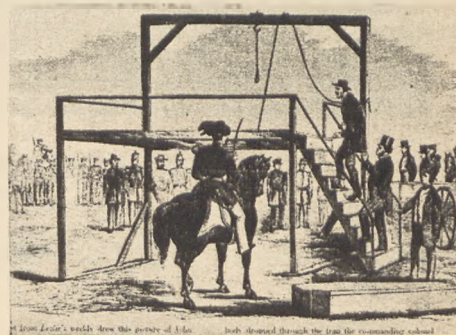
Policmajster Piłsudski

historyk (Józef Grabiec: „Rok 1863” str. 151) pisze:

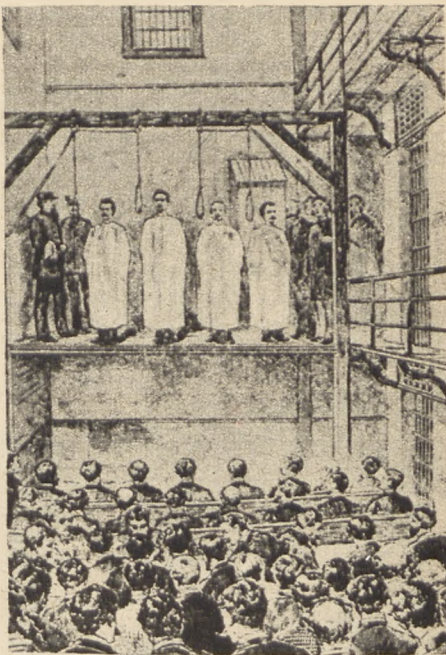
„...Reszta najdziksze i najbardziej bezcelowe i bezmyślne aresztowania osób podejrzanych, choć często najzupełniej niewinnych, przeprowadzane z rozkazu generała-gubernatora i pomagającego mu gorliwie osławionego złodzieja, łapownika i okrutnika, Polaka Piłsudskiego, oberpolicmajstra Warszawy, doprowadzały ludność do rozpacz, nie usposobiły jej jednak do zgody z rządem...”



W związku z dziewięćdziesiątą rocznicą powstania styczniowego warto przypomnieć postać policmajstra warszawskiego, generała Piłsudskiego, o którym



John Brown's death scene, the guillotine of 1859. John Brown, through the lens of the surrounding crowd.



KURIER WARSZAWSKI
Rok 1863. Księga 1. Ark. 155. Wł. 155. Ark. 155.
Członek: [imię] [nazwisko] [adres]

Z Najwyższego zezwolenia, p. o. Warszawskiego Ober-Policmajstra Generał-Major Piłsudski, od obywateli tych uwolniony, a na miejsce jego, przeznaczony został Słabsz-Rotmistrz Muchomow.

„Kurier Warszawski” z dn. 10 lipca 1862 r. informuje o policmajstrze Piłsudskim.

DIABEŁ

W CYLINDRZE

Napisał: MARIAN PODKOWIŃSKI

DALSZY CIĄG Z NR 2

Rok 1933 — rok „narodowej rewolucji” — upływa Hitlerowi na likwidowaniu opozycji, prześladowaniu lewicy i tworzeniu pierwszych obozów koncentracyjnych. Papenowi zaś, na — wyścigach i zabawach. Wicekanclerz ma monopol na „przecinanie wstęg” i rozdawanie pucharów. Kiedy w Hamburgu, na wyścigach konnych o „Niebieską wstęgę” Niemiec, podchodzi ktoś i powiada, że gestapowcy wywlekli z domu Ossietzkiego*) i biją go teraz w osławionym „Columbiahaus”, Papen jest zdenerwowany:

— Więc coś pan chce, — powiada do intruza — że bym właśnie teraz rzucił główny „bieg” i poleciał do Berlina interweniować... Przecież od razu go nie zabiją!

Jednakże w miarę krzepnięcia hitlerowskiego reżimu, znaczenie Papena maleje. Nikt go już właściwie teraz nie potrzebuje. Ani Hitler, ani przemysłowcy. Jego rola jako pośrednika trwa tak długo, jak długo żyje stary Hindenburg, który zupełnie zidiociał dogorywa w swym majątku w Neudeck. Ale dopóki jeszcze żyje, dopóty jego podpis jest Hitlerowi potrzebny na ważnych dokumentach państwowych, a Papen jest nieodzowny. — Stary go lubi — powiada do swego otoczenia Hitler — a Papen wie, jak się z nim obchodzić... — Aż do końca występuje się on Hitlerowi, gdy wokół szaleje brunatny terror i raz po raz znikają ludzie nawet z bliskiego kręgu Papena. Na politycznym cmentarzu Trzeciej Rzeszy żerują właśnie takie hieny, jak kondotier niemieckiego militarysty, Franz von Papen.

Wiosną 1934 roku Papen raz jeszcze zapewnia Hitlera o swej wierności. Odtąd stale będzie „dyplomata” Trzeciej Rzeszy do „specjalnych poruczeń”. W maju Papen jedzie do Neudeck, zaalarmowany przez Oskara, że Hindenburg umiera. Papen obiecał kiedyś Hitlerowi, że postara się nakłonić prezydenta do napisania (lub ewentualnie podpisania) „politycznego testamentu”. Chodziło o przekazanie całej władzy „fuehrerowi”. Sam Papen przygotował dwa pisma. W pierwszym wyrażone było życzenie w stosunku do rządu, drugie — zajmowało się sprawą ustroju państwa. Wiedząc jednak, że naczelny prawnik prezydenta, dr Meissner, nie zgodziłby się na tego rodzaju fabrykację dwóch testamentów, Papen wraz z synem Hindenburga, Oskarem, omi-

*) Znany publicysta niemiecki, przeciwnik hitlerizmu.

ufanym ludziom, że nie zostawia politycznego testamentu. Oba sfałszowane pisma zabrał do siebie Oskar Hindenburg.

W tydzień po śmierci prezydenta Hitler wezwał Meissnera, pytając, gdzie jest testament Hindenburga, który Papen przygotował. Meissner zrobił wielkie oczy. Porozumiał się jednakże z młodym Hindenburgiem, który potwierdził słowa Hitlera. Papen z polecenia Hitlera nakazał bezzwłoczne wydanie obu dokumentów. Aby formalności stało się zadość, do Neudeck jedzie oficjalnie adiutant Papena, hrabia Kageneck, i przywozi Papenowi oba testamenty. Ten wręcza je Hitlerowi.

Skoro upragniony „testament” był w ręku Hitlera, zatrzymał on tylko pierwszą część, która powiada o korzyściach hitlerowskiego reżimu, niszczy jednak drugą część, która wypowiada się za restytucją monarchii w przyszłości (w pamiętnikach swoich Papen występuje jako zapalony zwolennik monarchii). Naród niemiecki dowiaduje się nagle, że Hindenburg uważa Hitlera za męża opatrznościowego Niemiec! Oskar von Hindenburg w mowie radiowej, zainscenizowanej przez Goebbelsa, również nie wspominał o drugiej części testamentu ojca. I zaraz potem otrzymał wreszcie upragniony stopień generał-majora Reichswehry...

A Papen po raz drugi pomógł Hitlerowi w opanowaniu sytuacji.

1 sierpnia 1934 r. wyszła ustawa o połączeniu urzędu prezydenta Rzeszy z urzędem kanclerskim. Pod ustawą tą znalazł się również podpis von Papena.

Adolf Hitler stał się jedynowładcą Trzeciej Rzeszy.

16.

„Fuehrer” nie zapomnił zasług Papena dla jego reżimu. Bo kiedy nastąpiła „noc długich noży”, 30 czerwca 1934 roku*) (Hindenburg jeszcze żył, ale testament był już „załatwiony” po myśli Hitlera), kiedy sypały się głowy „spiskowców”, jedynie Papenowi nie spadł włos z głowy. Goering otrzymał wyraźny rozkaz oszczędzenia go. I kiedy w urzędzie wicekanclerza zabijano współpracowników Papena, on sam siedział spokojnie w swoim mieszkaniu — w „areszcie ochronnym”, który tym razem doprawdy uchronił go przed kulą oprawcy. Gina wtedy „ludzie Papena” — von Bose, Edgar Jung, a von Tschirsky wędruje do obozu.

A co robi Papen, kiedy zabijają mu przyjaciół i współpracowników?

Pisze wiernopoddany list do Hitlera:

„Po tym, co usłyszeliśmy z ust pana o rozwoju sytuacji, jaka doprowadziła do 30 czerwca, czuję potrzebę uściśnić pańską dłoń, jak kiedyś 30 stycznia 1933 roku i podziękować za wszystko, co przez zmiążdżenie przygotowań do rewolucji uczynił pan dla narodu niemieckiego...”

List ten skwapliwie wykorzystwała propaganda Goebbelsa.

I nie ominęła Papena za to sowita nagroda.

Jego rola jako wicekanclerza Rzeszy skończyła się praktycznie w dniu 30 czerwca. Nie jest potrzebny więcej w Berlinie. Hitler i tak pozostał sam na placu. Ale ten arcyłokaj hitlerizmu może się jeszcze przydać. Hitler spogląda teraz w stronę Austrii. Jego nielegalna partia w Wiedniu boryka się z trudnościami. Trzeba wysłać tam kogoś, kto by od wewnątrz przygotował zamach stanu i zabór Austrii.

Hitler wiedział, że Papen jako katolik ułatwi mu pozyskanie opinii prawicy austriackiej dla idei „anschlusu”. I Papen jedzie do Wiednia, jako „minister Rzeszy do spraw specjalnych”.

Trzy lata trwała judaszowa robota Papena w Austrii, zanim przywlokł Schuschnigga przed oblicze Hitlera w Berchtesgaden. Na procesie norymberskim dokładnie oświetlona została rola Papena w aferze anchlussowej, kiedy wejść miał w życie „Fall Otto” — napad na Austrię.

Zeznawał wtedy dr Guido Schmidt, minister spraw zagranicznych dawnej Austrii, zwany „małym Metternichem”. Był on świadkiem agonii republiki naddunajskiej, razem bowiem z kanclerzem Schuschniggiem był jednym z uczestników „konferencji” w siedzibie Hitlera w Berchtesgaden.

*) Hitler rozprawił się wtedy z „niepewnymi elementami” w łonie partii narodowo-socjalistycznej (Roehm, Strasser, etc). Ofiarą masakry padło również wielu działaczy innych kierunków politycznych, m. in. gen. Schleicher.

nęli po prostu Meissnera i prywatnie przedłożyli 86-letniemu starcowi dwa ważne dokumenty do podpisu, które później miały zaoszczędzić Hitlerowi wiele kłopotów.

Dr Schultze-Pfaelzer, który był wtedy szefem prasowym kancelarii prezydenta Rzeszy, opowiada, że Hindenburg bardzo już wówczas słabo czytał i ledwo poznawał ludzi (kiedyś wziął nawet Hitlera za Papena), prosił więc swego adiutanta, hrabiego von der Schulenburg, aby oba pisma przepisał na maszynie. Prezydent zapewne w ogóle nie czytał tego, co podpisał, albo nie pojął treści dokumentów, ponieważ mówił przed samą śmiercią za-

Oto treść dialogu między prokuratorem amerykańskim Thomasem Doddem, a świadkiem dr. Schmidtem: Dodd: — Czy świadek występował 11 lutego 1938 roku razem z dr. Schuschniggiem w imieniu rządu austriackiego?

Schmidt: — Tak jest.

Dodd: — Hitler, Papen, Ribbentrop, Keitel, Sperrle i Reichenau — w imieniu Niemiec, czy zgadza się?

Schmidt: — Tak jest. Pan von Papen dopiero w drodze do Berchtesgaden powiedział mi, że również generałowie będą obecni na konferencji... W Wiedniu mówiono co innego.

Dodd: — Czy konferencja zaczęła się rozmową w cztery oczy między kanclerzami?

Schmidt: — Tak. Po godzinie kanclerz austriacki wyszedł błady do mnie i przedstawił nową sytuację, jaka wytworzyła się w ciągu tej godziny. Hitler — opowiadał mi kanclerz — rzucał się jak furia, nie szczędząc Schuschniggowi ani obelg, ani zarzutów natury osobistej. Potem zawołał Keitla i zapytał się ostentacyjnie ile dywizji niemieckich stoi na granicy austriackiej...

Dodd: — A jak zachował się von Papen?

Schmidt: — Papen poradził nam dobroduszenie, abyśmy przyjęli wszystkie warunki Hitlera, ponieważ nie miało sensu wracać z konferencji bez rezultatu... Papen dodał jeszcze, że właśnie rozmawiał z Ribbentropem, który oświadczył mu, że jeśli „Austriacy będą się opierać, wojska niemieckie wkroczą do Wiednia...”

Kiedy wreszcie zakończyła się zainscenizowana przez Hitlera i Papena farsa, i ministrowie wiedeńscy przyjęli warunki Hitlera, wywiązała się towarzyska rozmowa przy kawie. Hitler był w dobrym nastroju — notuje w swoim pamiętniku Schuchnigg — mówił nawet komplementy Austriakom.

Papen trzymając kieliszek białego wina powiada do kanclerza Austrii:

— Widzi pan, jaki on potrafi być miły...

Słowa te podchwytuje Hitler i zwraca się do Papena:

— W decydującej godzinie 1933 roku uratował pan Rzeszę przed katastrofą, umożliwiając dzień 30 stycznia...

— Jawohl, mein Fuehrer! — pochyla się Papen.

— Nigdy panu tego nie zapomnę, Herr von Papen — podaje mu ostentacyjnie rękę Hitler.

Gdy panowie opuszczają kwatery „wodza”, aby ruszyć samochodami do Wiednia, jeden z adiutantów Hitlera zatrzymuje Papena i wręcza mu grubą kopertę. Papen nerwowo łamie lakowe pieczęcie... „Wódz i kanclerz w uznaniu zasług dla narodu i państwa mianuje pana ambasadorem Rzeszy...”

Pierwsza rata na poczet „30 srebrników” za Austrię.

* * *

Był to „czarny dzień” oskarżonego Papena w Norymberdze. Cała sala oczekiwała repliki. Rozpoczął ją Papen drżącym niemal głosem. Siwa jego głowa, do złudzenia przypominająca wysuszoną twarz Fryderyka II, kiwała się rytmicznie w takt zdań, wypowiadanych skrzekliwym głosem.

— Nazywano mnie tutaj arcydziełem, królem spiskowców, nawet diabełem w cylindrze — żalił się Papen przed Trybunałem. — Wszystko o mnie tutaj mówiono... — dodał gorzko, broniąc się zaciekłe przed zarzutami utorowania drogi Hitlerowi do władzy. — Nigdy nie pertraktowałem z Hitlerem o władzę w państwie, nie spiskowałem przeciwko Brueningowi, nie rzucałem kłód pod nogi Schleicherowi...

— Ale przyglądał się pan spokojnie, kiedy mordowano panu przyjaciół? — nacierał dalej prokurator. — Przecież mógł pan krwawej nocy 30 czerwca 1934 roku po prostu nie wrócić do urzędu i w ten sposób zdemontować swoją pogardę dla reżimu morderców. Owszem, wiem, że to było niebezpieczne dla pana, groziło nawet skrytobójczą kulą, ale czy inni nie ponieśli takiej ofiary dla ojczyzny, panie von Papen?

— Pozostałem na urzędzie, aby ratować jeszcze to, co się wtedy ratować dało. Umierając Hindenburg polecił mi wiele rzeczy poświęcić dla dobra ojczyzny...

— I dlatego pojechał pan do Austrii, aby zabrać jej niepodległość? — zapytał prokurator.

Papen milczał.

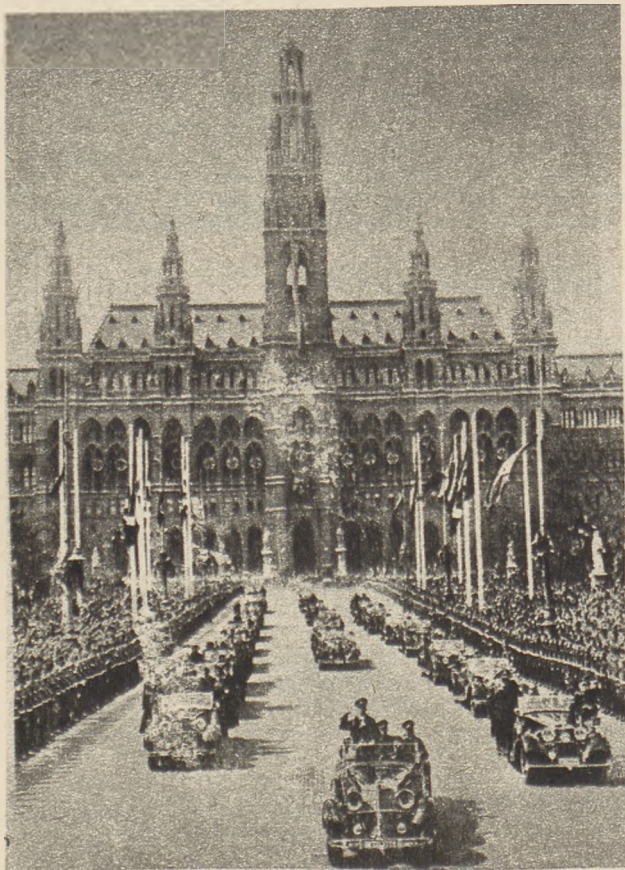
17.

Wypadki w Austrii potoczyły się szybko. Schuschnigg, obok Dollfusa, najbardziej zaciekle faszysta austriacki, porzucony przez Mussoliniego i inne kraje zachodniej Europy, które milczeniem zezwalały na aneksję Austrii, pozostał osamotniony na politycznym parkiecie. I uległ po raz drugi. W miesiąc po wizycie w Berchtesgaden, 11 marca 1938 roku, wojska niemieckie przekroczyły granicę austriacką. Hitler był tak miły, że osobiście przyjechał do Wiednia, poczem udał się w asyście Himmlera do Braunau nad Innem, gdzie stał jego dom rodzinny. Hitler był przecież Austriakiem i katolikiem...

14 marca Papen otrzymał — choć nie był członkiem NSDAP — najwyższe odznaczenie partyjne: „złotą odznakę NSDAP”. W tym samym czasie gestapo morduje jego najbliższego współpracownika na wiedeńskiej placówce, Kettelera. Wiedział on zbyt wiele o kulisach anchlussu i musiał zginąć. Powtarza się historia z „nocy długich noży”: Papen przyjmuje obojętnie wiadomość o śmierci Kettelera i z dumą przypina do kłapy wysokie odznaczenie hitlerowskie, które nadaje mu sam kanclerz Trzeciej Rzeszy.

Nazajutrz jest znowu na audiencji u Hitlera, który powiada mu, że teraz powinien trochę odpocząć. Czeka go bowiem nowe zadania. Papen jedzie więc do swojego majątku w Wallerfangen.

Dokończenie w następnym numerze



...Hitler był tak miły, że osobiście przyjechał do Wiednia: 11 marca 1938 roku wojska hitlerowskie przekroczyły granicę austriacką.

nasz fotokorespondenci donoszą

KRÓLESTWO INDIKÓW



Sierakowo jest prawdziwym królestwem indyków. W małych domkach wśród dębowego lasu hoduje się tu najlepsze na całym Pomorzu Zachodnim zarodowe rasy indyków. Zasilają one fermy ho-

dowlane innych PGR-ów, spółdzielni produkcyjnych i indywidualne gospodarstwa w okolicznych gromadach wiejskich. Józefa Wajdowska i siostry Pikus są troskliwymi opie-

kunkami stada; pod ich okiem indy chowają się zdrowo i szybko przybywają na wadze.

Janusz Mikołajczak, Szczecin

Zdjęcie Stefana Cieślaka

ABY NIE BYŁO WTORNEGO ANALFABETYZMU

Kierowniczką Biblioteki Gminnej w Głuszyca jest 57-letnia Janina Adamska. Nie szczędzi ona wysiłków, aby podległe jej punkty biblioteczne w gromadach prowadzone były wzorowo. Dzięki jej energii w gminie Głuszyca liczba czytelników stale wzrasta.

Przy bibliotece gminnej zorganizowała ona Kółko Przycięcia Biblioteki, a również dwa zespoły Wszechnicy Radiowej. Na kurs wstępny zapisało się robotniczy miejscowych zakładów przemysłu bawełnianego, na kurs I nau-czyiele głuszyckich szkół i miejscowi urzędnicy. Obecnie Janina Adamska organizuje kółko Wszechnicy Radiowej na terenie gromad swej gminy.

Abby absolwenci kursów początkowego nauczania nie stali się wtórnymi analfabetami. Janina Adamska zachęca ich do czytania książek. Sprawa nie była bynajmniej łatwa. Adamska chodziła po głuszyckich zakładach pracy notując



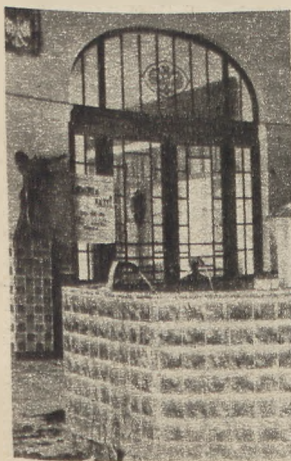
Janina Adamska przy pracy w bibliotece gminnej w Głuszyca

nazwiska wszystkich byłych analfabetów. Gdy już sporządziła ich wykaz, trzeba było każdego z nich z osobna zachęcać do czytania. W końcu wszyscy zapisali się do biblioteki, a obecnie wielu z nich

ma już na swoim koncie stosunkowo znaczne liczby przeczytanych książek. Na przykład Władysław Gryner przeczytał 28 dzieł, Maria Kalinowska 12, a Julia Bernas 8.

Zbigniew Fin, Wałbrzych

ANONIMY DO KOSZA



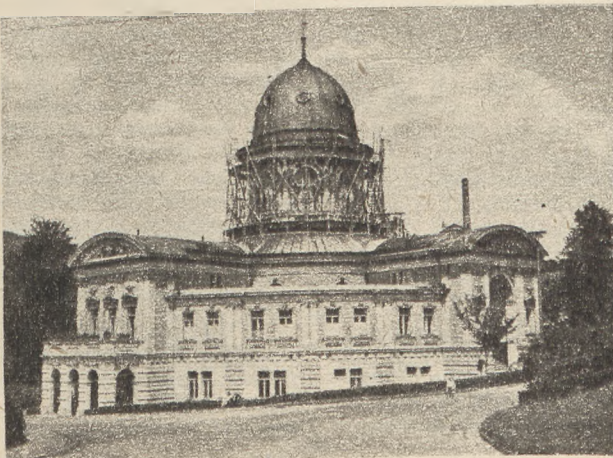
„Poznaj piękno Ziemi Kłodzkiej” — wołają do czasowiczów tytuły albumów, wystawionych w licznych sklepach Ładka Zdroju i Polanicy. Ponieważ czasowicze pragną się zastosować do tego wezwania, więc albumy nabywają, lecz spotyka ich rozczarowanie. Pod żadną z fotografii nie ma podpisu wyjaśniającego, co przedstawiają.

Kto wydał te albumy? — PTTK, czyli Polskie Towarzystwo Turystyczno - Krajoznawcze.

Kto jest autorem zdjęć? — Nie wiadomo.

Przyjrzyjmy się z kolei zdjęciom Anonima, ale nie Galla. Czy propagują one piękno Ziemi Kłodzkiej?

Leon Makowski, Duszniki



CHÓR „KALINKA”



Drugi już rok istnieje w Łodzi zespół „Kalinka” śpiewający pod kierownictwem S. Berezowskiego rosyjskie pieśni ludowe i pieśni radzieckie. Chór występuje w pięk-

nych strojach ludu rosyjskiego. Największym powodzeniem cieszy się wśród słuchaczy „Kantata o Stalinie”, „Komsomolskaja”, „Kalinka” oraz „Samowary—samopały”.

Obecnie zespół „Kalinka” opracowuje nowe pieśni. Repertuar obejmuje 40 utworów.

Władysław Borkowski, Łódź

UŚMIECH PRAWDZIWEJ PRZYJAŹNI



Irena Basiukówna i Stefan Boruń tańczą dziecięcego mazura

za nasz wysiłek i niewygody w podróżach jest najbardziej szczerą sympatią, z jaką witają i żegnają nas ślasy robotnicy w najbardziej nawet zapadłych miejscowościach.

Choć wszystkie nasze zobowiązania zostały już wykona-

ne, pracę swą kontynuujemy dalej, ponieważ uważamy, że tego rodzaju forma służby społecznej polskich artystów jest jak najbardziej pożyteczna.

Mieczysław Banaszyński, Bytom

FOTOGRAFIA NA CODZIEN ŚWIATŁO i BARWY

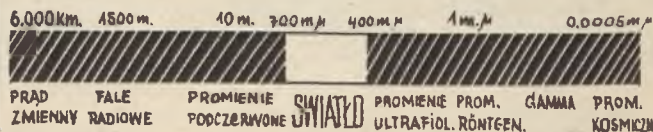
Fotografia — to obrazy malowane słońcem. Promienie wysyłane na ziemię przez słońce składają się z szeregu fal elektromagnetycznych o rozmaitej długości, z których tylko niewielki zakres, od 400 do 800 milimikronów (1 milimikron — 1/1000.000 mm) stanowi fale świetlne widzialne. Fale poniżej 400 i powyżej 700 milimikronów znajdują się po za granicami odczuwania naszego wzroku.

Ten niewielki zakres fal elektromagnetycznych, który przyjmujemy jako „białe światło”, jest jeszcze zespołem fal o różnej długości i różnym zabarwieniu. Gdy przez pryzmat przepuścimy promień światła słonecznego, na ekranie ujrzemy t.zw. widmo słoneczne, składające się z szeregu barw, powstałych przez załamanie się fal o różnej długości. Najmniej odchylone będą promienie czerwone (największa długość fal), najsilniej załamany będzie kolor fioletowy. Na tej samej zasadzie załamania się promieni słonecznych opiera się zjawisko tęczy, gdzie rolę pryzmatu odgrywają zawieszone w powietrzu kropelki wody.

Ta złożoność światła słonecznego, różne załamania się jego fal, odgrywają istotną rolę jeśli chodzi o konstrukcję obiektywu, uczulenie na kolory emulsji negatywu i codzienną praktykę fotograficzną.

Zabarwienie światła słonecznego nie jest stałe. Rano i wieczorem promienie słońca padają ukośnie, odbywając dłuższą drogę poprzez grube warstwy atmosfery, obfitującej w kurz i mgłę. Następuje rozproszenie i załamanie się promieni czerwonych i żółtych, zabarwiających atmosferę na kolor pomarańczowy. W południe, światło słoneczne padając prostopadle, najdłuższą drogę odbywa podług najwyższych warstw atmosfery i tam następuje rozproszenie i odbicie najkrótszych fal o barwie niebieskiej i fioletowej. Czerwień zachodzącego słońca chwytą nawet dalekie od doskonałości oko ludzkie — emulsja panchromatyczna chciwie wchłania te właśnie promienie, pozwalając dokonać zdjęcia o zachodzie słońca, co było jeszcze niemożliwe w okresie panowania emulsji ortochromatycznej, nieczulej na kolor czerwony.

W górach, na wysokości powyżej 1.500 m, gdy wejdziemy już ponad warstwę kurzu, otulającego kulę ziemską wkracamy w królestwo promieni ultrafioletowych, pięknie brązowiących nam skórę, lecz niebezpiecznych dla emulsji fotograficznej. Promienie te, jako najkrótsze z fal świetlnych, załamują się silnie, tworząc obraz nie na płaszczyźnie negatywu, lecz w odległości mniejszej, bliżej obiektywu, powodując całkowitą często nieostrość obrazu. Aby otrzymać dobre zdjęcie, musimy stłumić ich działanie, stosując specjalny filtr..





Przewodnik Lee przeszedłszy potok nasłuchuje, czy w chaszczach nie pomrukują największe na świecie niedźwiedzie



To nie domek na palach! Tak zabezpiecza się zawsze spiżarnię obozową przed igłozwierzem i czarnym niedźwiedziem.



Na skraju puszczy stanął potężny łos i zdawał się rozmyślać o czasach, gdy myśliwi nie zagrażali jeszcze jego życiu



Autor pamiętnika podróży do Alaski jest już gotów do nowej wyprawy. Oczekując przyjaciół przegląda album.

W KNIĘJACH ALASKI

ZACZĄŁ padać deszcz, początkowo mżył, stopniowo przechodząc w ulewę. Pośpiesznie wciągnęliśmy nieprzemakalne nogawice i kurtki, by zrezygnowani zawrócić do obozu.

Wróciliśmy inną drogą, w miarę możliwości omijając gąszcze, które co chwila zagradzały nam przejście. Widzieliśmy parę klemp pilnowanych przez byka, a nieopodal dwa mniejsze rogale smutnym wzrokiem przyglądały się łosom. Widać większy i silniejszy łos o dobrze rozwiniętych łopatach wzbudzał w nich zrozumiały respekt.

Po dwugodzinnej wędrówce poprzez rozszumiącą od wiatru i deszczu puszcę, dotarliśmy do obozu. Bezwzględnie poszukialiśmy schronienia w namiocie kuchennym, gdzie rozwiesiliśmy nasze mokre ubrania. W jakieś pół godziny po nas zjawili się Blanc i Earl oczekujący wodą, ponieważ zapomnieli zabrać ze sobą swoje nieprzemakalne stroje.

Mimo wielojęzycznych życzeń pomysłnych łowów, dzisiejszy dzień — to fiasko. Dane mi było jednak podpatrzeć scenę z życia łosi, a taka sposobność możliwa jest tylko na Alasce, słynnej nie tylko z ilości, ale i jakości swoich łosi.

Łało bez przerwy. Siedzieliśmy więc w ciepłym kuchennym namiocie, nudząc się setnie. Nawet nasza uroczą wiewióreczkę uważała za stosowne ukryć się w jakiejś przytulnej dziupli, nawet wiecznie ciekawe i natrętne sójki zapomniały o naszym istnieniu. Deszczowa pogoda działała deprymująco i sennie na całe otoczenie. Dla rozrywki zaczęliśmy grać w karty, podczas gdy Jean uwił się przy pichceniu późnego obiadu, a pomagał sobie w robocie siarczystymi klątwami.

Beznadziejna, wymarła pustka. Smętny las ociekał wodą, deszcz zaczął i siekł, zapamiętałe po namiotowych brezentach, wtórując wyjącemu przez listowie wichrowi. Z pasją rzuciliśmy karty. Nieustanny grzechot deszczu, bębniący nad naszymi głowami, działał na nerwy.

Może czytać? — za nic. Rozmawiać? — nikt nie zdradzał najmniejszej ku temu ochoty, nawet wygadany Lee zamknął się w sobie, a Earl, ten urodzony mruk, siedział równie chmurny, jak chmurne było niebo nad nami. Jedynie zawsze usmiechnięty Guy próbował rozweselić towarzystwo, przerwać wyczuwające się napięcie, ale przy pierwszej próbie spotkał się z odprawą brata: „Damn you, shut up!“. Burza wisiała w powietrzu, aż trzasła potokiem ostrych słów, wymienionych między mną a Blanc. Powód zapewne błahy, ale ani on, ani ja nie pamiętaliśmy później o co nam poszło; poniosły nas napięte do ostateczności nerwy.

W chwili największego bodaj nasilenia sprzeczki, kiedy już mało brakowało, by rękoczynny zastąpiły wyczerpujące się słowniki inwektyw, zjawiał się ON.

U wejścia namiotu stał oczekujący wodą, opatulony w coś, co kiedyś mogło nazywać się peleryną. Słowa utknęły nam w gardłach, zaciśnięte pięści opadły bezsilnie, a Lee i Earl podbiegli witać przybysza.

Był to pod każdym względem ciekawy typ człowieka. Średniego wzrostu, atletycznej ale suchej budowy, o pomarszczonej od wichrów, mrozów i słońca twarzy, która dobitnie świadczyła o życiu pełnym przygód. Szczere, niebieskie oczy patrzyły przenikliwie, jakby chciały sięgnąć głęboko, aż do duszy, by stwierdzić wady i zalety charakteru rozmówcy. Białe jak mleko włosy, o dziwnym, niespotykanym błękitnym odcieniu, pozwalały stwierdzić, że ich właściciel liczy sobie sporo lat. Ale ile? — trudno było określić, może sześćdziesiąt, siedemdziesiąt, a może i znacznie więcej; zwawe ruchy, donośny głos, żywe, młodzieńcze niemal spojrzenie zdawały się kłam zadawać wiekowi.

Przewodnicy wprowadzili niespodziewanego gościa, którego pojawienie się podzielało jak różdżka oliwna, i gdy wymogom towarzyskim stało się zadość, zasiadliśmy wspólnie do stołu.

* Bądź przeklęty, zamknij się.

Niedawne napięcie minęło całkowicie; Lee był znowu sobą, Guy był w najlepszej komitywie z bratem, Blanc i ja odzyskaliśmy równowagę ducha, puszczając zająście w niepamięć, nawet Earl, ten ukochany mruk, zdobywał się, o dziwo, na sklecenie paru wielowrazowych zdań. Rum i obiad podany przez Jeana ostatecznie wpłynęły na ogólną poprawę nastroju.

Nasz gość, Billy Borden, liczył sobie w rzeczywistości przeszło osiemdziesiąt lat, dokładnie sam nie pamiętał tej drobnej nadwyżki. Całe życie spędził na Alasce, będąc na przemian wielorybnikiem, poganiaczem psów, członkiem wyprawy na biegun północny, traperem, bokserem, poszukiwaczem złota; ale przede wszystkim był zawsze obywatelem niezmiernych połaci Alaski, kochającym przyrodę tkliwą miłością.

Na stare lata osiadł nad brzegami jeziora Skilak, jakieś dwie godziny dobrego marszu od obozu, i tam żył jak pustelnik. Zimą był traperem, wiosną wsłuchiwał się w gędbę odrywającej puszczy, w muzykę szemrzącego strumienia, w pieśń ptaków, huk lawin echem odbijający się od gór, i daleki szum wezbranych potoków, a całość tworzyła najcudniejszą symfonię, którą jedynie przyroda wyczarować może. Latem żył wspomnieniami minionych dni. Umiejętnym a dobrotliwym postępowaniem obłaskawiał mieszkańców puszczy.

Jesienią odwiedzał obóz myśliwych, przybyłych jak wędrowne ptaki z dalekich, często nieznanych stron; siedł do ludzi, którzy nieśli dobroczynny powiew z szerokiego świata, świata, którego już niestety nie sądzonym mu będzie oglądać.

Tej okoliczności zawdzięczaliśmy jego odwiedziny.

Snuły się opowiadania o dalekiej, nieznanej Polsce, o słonecznej Francji, o chmurnym Albionie, o butnym Prusaku, o niesłychanym, nieludzkim ucisku i wyzysku kolonii przez białego człowieka.

Billy Borden słuchał... myśl jego pracowała nieustannie, przenosiła się poprzez morza i oceany, by oczami wyobraźni widzieć te nieznane krainy.

Tak Blanc, jak i ja czerpaliśmy natchnienie z tej zasłuchanej postaci Billy Borden, tego żywego ognia, łączącego wiek dziewiętnasty z dwudziestym.

Gdy była mowa o ucisku kolonialnym, starzec aż się zachnął, stuknął czerstwą jeszcze pięścią w stół i swym mocnym, młodym prawie głosem wrzasnął:

— Nie mówcie mi o ucisku i wyzysku, widziałem tego dosyć na własne oczy tu, na ukochanej przeze mnie Alasce.

Westchnął ciężko. Wzdrygnął się, jak gdyby otrząsał napierające, straszne widziadła.

— Tak, czarna jest karta dziejów rozwoju stosunków między tubylcami a białym człowiekiem, świadcząca o bezwzględnej zachłanności białego najeźdźcy. My, Amerykanie, synowie wolnego narodu, szczerzącego się swymi zdobyczami kulturalnymi, naukowymi, tępiłiśmy ich bezlitośnie — jeśli nie otwarcie, to pośrednio, zatruwając ich organizmy nieznaną przez nich wodą ognistą.

— Czy wolno Indianinowi, Aleutowi czy Eskimosowi pokazać się w lokalu publicznym, czyż wolno im uczęszczać do szkół, przeznaczonych dla rasy białych panów? A małżeństwa mieszane? Prawnie dozwolone, ale cóż z tego, kiedy strona „rasowo nieczysta“ stawia się poza nawias społeczeństwa i pociąga za sobą partnera życiowego. Dzieci z takiego małżeństwa to „Half Casty“, ofiary tej teorii czystości rasy bez żadnych widoków na przyszłość.

— Indianie, tak licznych dawniej szczepów Haidah, Tsimpshian, Thlinget i Knik, dzisiaj zdziesiątkowani, znaleźli się w wyznaczonych im rezerwach, marniejąc z roku na rok.

* Mieszkańcy — półkrwi.

— A Aleuci, gnieźdzący się na dzikich, skalnych wysepkach Półwyspu Alaski, gdzie srogie wichry lub gęsta mgła są ich codziennym losem, też pariasi społeczności Alaski. Stuprocentowi analfabeci, żyjący jedynie z łaski morza i łaski Wujy Sama.

— Bez porównania lepiej powodzi się Eskimosom, ale to zasługa ich własnej odporności i zdolności przystosowania się do nowych warunków życia, a co najistotniejsze, szczęście ich wynika ze znacznie rzadszego kontaktu z władzą amerykańską.

— Szczyt barbarzyństwa białych kolonizatorów Alaski, to zbrodnia popełniona w latach dziewięćdziesiątych ubiegłego stulecia przez Szkota z pochodzenia, handlarza futer skupowanych przez niego wzdłuż wybrzeży Alaski i Syberii.

— Posłuchajcie, a rzucicie na niego klątwę wiecznego potępienia.

— Historia tej zbrodni przekazana mi została przez kapitana MacDonalda, dezertera brytyjskiej marynarki, a jednocześnie starego pirata mórz południowych, i potwierdzona przez kapitana Filmora'a, innego rozbójnika spod znaku czarnej chorągwi ze skrzyżowanymi puszczelami i trupią główką. Obaj ci ludzie słyszeli ją bezpośrednio od złoczyńcy, którym był wspomniany Szkot, właściciel i dowódca żaglowego szkunera.

— Jak nadmienilem, gdzieś w latach 1890, Szkot znajdował się u wybrzeży wyspy Kadiak, prowadząc z tubylcami intratny handel zamienny. Błyskotki za futra. Od miejscowej ludności usłyszał, że w okolicach Anchor Point, w zatoce Cooka, Indianie posiadają ogromne zapasy cennych skór. W swej bandyckiej głowie widział już stopy skór przeistaczających się w mile dla ucha brzęczące złoto, w garście złota. Na samą myśl o złocie jego palce, jak szpony skąpca, drgały pożądliwie.

— Bez namysłu porzucił wyspę Kadiak i popłynął na północ; skierował szkuner na wody zatoki Cooka i zarzucił kotwicę przy wiosce Indian, zamieszkałej przez około dwustu ludzi.

— Rzeczywiście byli w posiadaniu niezliczonej ilości skór wyder i lwów morskich, nie mówiąc o pekach futer rysich, lisich, gronostajowych i nutril.

— Tubylcy jednak okazali się twardymi klientami i handlarz na wstępie już zrozumiał, że nie kupi futer za to, co miał im do zaoferowania; ale jednocześnie wiedział, że nie pozostawi ich dla jakiegos innego kupca. Iście szatański plan zrodził się w jego zbrodniczym umyśle.

— Urządził wielkie przyjęcie dla całej wioski. Indianie najedli się do syta i opili do nieprzytomności. We śnie zmarli od wolno działającej trucizny, którą przyprawione były potrawy i napoje.

— Już bez żadnych trudności zbrodniarz załadował na szkuner cenną zdobycz i pożeglował w świat.

— Niedługo po tym masowym mordzie jakaś łódź dobiła do Anchor Point; jakież musiało być przerażenie załogi, gdy znalazła około dwustu ciał mężczyzn, kobiet i dzieci w stanie rozkładu, będących żerem dla wilków, lisów i kruków.

— Niezwłocznie odpłynęli, meldując o swoim odkryciu w osadzie Homer, skąd wyprawa pod niejakim Blockiem udała się na miejsce zbrodni, gdzie wszystkich Indian pochowała. Do dziś dnia groby ich, to widoczny, a niesławny pomnik okrucieństwa białego człowieka, jakby rzucający straszne słowo: „Oskarżam!“

Zaległo głuche milczenie, nawet deszcz przestał bębnić nad głowami. Był to może spontaniczny hold oddany ofiarom anglosaskiego terroru kolonialnego, którego zasadą jest, że cel uświęca środki.

Na dworze szarzało, ciemne, prawie czarne chmury kirem żalobnym okrywały puszcę...

JAROSŁAW POTOCKI

Fragment z pamiętnika podróży w latach trzydziestych.

MUNDURY, MUNDURY, MUNDURY

Zdjęcie niniejsze brytyjska agencja Keystone zaopatrzyła następującym podpisem:

„NIEMCY 1952 — MUNDURY, MUNDURY, MUNDURY! — Przechodnie w Karlsruhe ze zdumieniem zauważyli nowe mundury, w które rząd federalny (w Bonn — przyp. nasz) przydzielił strażników Najwyższego Trybunału Konstytucyjnego. Karlsruhe, miasto w południowo-zachodnich Niemczech, jest siedzibą tego trybunału. Spodnie mundurów ozdobione są błękitnymi i czerwonymi wypustkami — Nic, powtarzamy, nic się nie zmieniło od czasu obalenia Kajzera i Hitlera“.

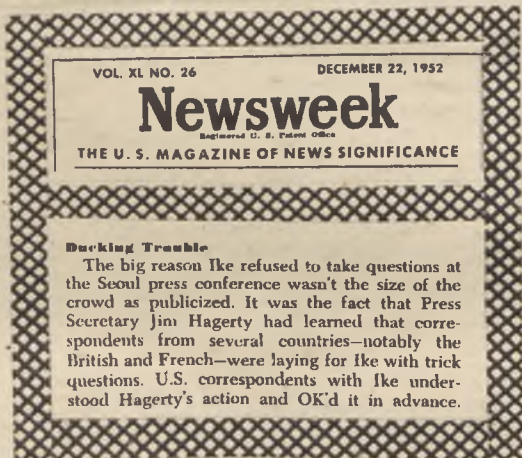
Podpis agencji Keystone tym razem nie wymaga komentarza.



EISENHOWER TCHÓRZY

Podczas pobytu gen. Eisenhowera w Korei doszło do charakterystycznego incydentu. Na konferencji prasowej, zwołanej w Seulu, dziennikarze brytyjscy i francuscy zamierzali zadać generałowi szereg pytań. Jednakże w ostatniej chwili ogłoszono, że stawianie pytań jest niedozwolone, ponieważ... na konferencję przybyło zbyt wielu ludzi. Ku oburzeniu korespondentów brytyjskich i francuskich, konferencja zamieniła się w odprowadzenie, podczas której generał mówił, a dziennikarze słuchali „na baczność“.

Obecnie tygodnik „Newsweek“ (z 22 grudnia 1952) wyjaśnia istotne motywy, które skłoniły organizatorów konferencji prasowej do zakneblowania ust dziennikarzy:



W przekładzie:

„Zasadniczym powodem, dla którego „Ike“ nie zgodził się, by mu stawiano pytania na konferencji prasowej w Seulu, nie było wcale zattoczenie sali, jak informowano. Powodem był fakt, że sekretarz prasowy, Jim Hagerty, dowiedział się, iż korespondenci z różnych krajów — zwłaszcza brytyjscy i francuscy — zamierzali zadać Eisenhowerowi szereg kłopotliwych pytań. Korespondenci amerykańscy i „Ike“ rozumieli motywy Hagerty i zaakceptowali jego decyzję z góry“.

Czyli, krótko i wężłowato, odważny generał zląkł się pytań swych sojuszników.

STRACH MA OGROMNE OCZY

Dziennik nowojorski „Daily Mirror“ z dnia 7 listopada 1952 roku donosi:

„Gdy pewien przechodzień zauważył wczoraj dwóch ludzi płynących łodzią po East River i wzmachujących czerwona chorągiewką — zawezwał natychmiast policję. Nadjechały cztery samochody

policyjne i motorówka policyjna rzecznej... Okazało się, że owi dwaj mężczyźni na łódce są pracownikami firmy Consolidated Edison, zatrudnionymi przy układaniu nowego kabla telefonicznego łączącego Bronx z North Brothers Island. Czerwona chorągiewka sygnałowa dawali znaki mierni-

czym pracującym na brzegu“.

Jeśli tak dalej pójdzie, to wszyscy dróżnicy amerykańscy powędrują do kryminału za wymachiwanie czerwonymi chorągiewkami sygnalizacyjnymi przy przejeździe pociągów.

Dziennik kalifornijski „Los Angeles Examiner“ z dnia 31 października 1952 roku donosi:

„CZERWONE ŚLADY W NOWEJ BIBLIJ. Wobec licznych głosów, że niektórzy spośród autorów nowego przekładu biblij mają komunistyczną przeszłość, zjazd 700 reprezentantów Kościoła Pentecostal (jedna z licznych sekt

religijnych działających w USA — przyp. red.) odmówił aprobaty nowemu, zrevidowanemu tłumaczeniu biblij, które ukazało się ostatnio pt. „Revised Standard Version of the Bible“. Zjazd uchwalił powołanie specjalnej komisji śledczej, która ma zbadać przeszłość tłumaczy i nadać bieg sprawie“.

Przy głębszym wnikięciu w sprawę może się okazać, że nie tylko tłumacze są podejrzani. Podobno Komisja Badania Działalności Antyamerykańskiej zainteresowała się poważnie przykazaniem „Nie zabijaj“. Pewien kongresman twierdzi, że ma ono wyraźnie antyamerykańskie ostrze.

NA NIEWŁĄCZNYM MIEJSCU

Podczas ostatniej wojny pewien przedsiębiorczy fabrykant amerykański, produkujący damską bieliznę, postanowił wyzyskać patriotyczne uczucia publiczności i wypuścił na rynek majtki o barwach narodowych, ozdobione napisem „God Bless America“ (Bóg, błogosław Ameryce). Przykład znalazł naśladowców w... Anglii.

Konserwatywny członek Izby Gmin, major Sydney Markham, oświadczył niedawno na posiedzeniu parlamentu, że „pozbawieni skrupułów przedsiębiorcy wyzyskują zbliżając się koronację królowej Elżbiety do niskich celów“ i wypuścili na rynek „części garderoby, ozdobione w niewłaściwym miejscu flagą brytyjską“. Okazało się, że szanowny poseł ma

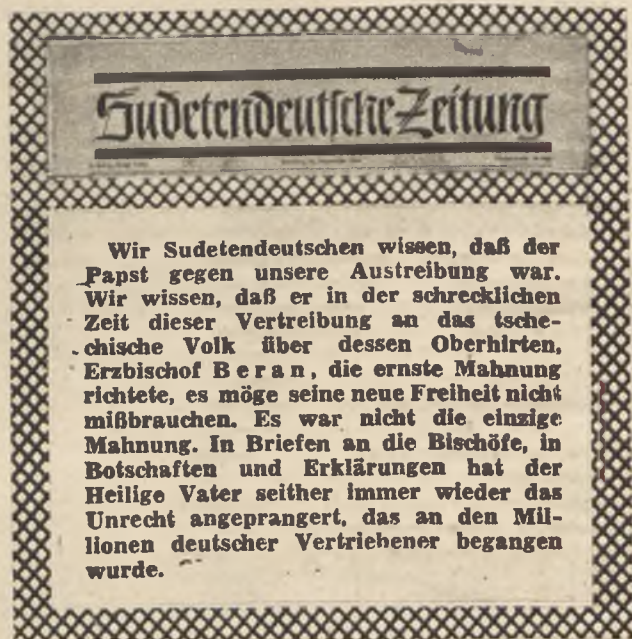


rację. Istotnie — jak widać na zdjęciu — flaga znajduje się na niezupełnie właściwym miejscu.

Cóż, z kim przestajesz, takim się stajesz...

PODWÓJNA MIARA

Watykan popiera nie tylko kampanię rewizjonistyczną przeciwko naszym granicom na Odrze i Nysie, ale również kampanię Niemców sudeckich przeciwko granicom czechosłowackim. Odwetowe pismo przesiedleńców sudeckich, wydawane w Bawarii (Niemcy zachodnie), „Sudetendeutsche Zeitung“ w numerze z 20 grudnia 1952 r. pisze na ten temat co następuje:



Wir Sudetendeutschen wissen, daß der Papst gegen unsere Austreibung war. Wir wissen, daß er in der schrecklichen Zeit dieser Vertreibung an das tschechische Volk über dessen Oberhirten, Erzbischof B e r a n, die ernste Mahnung richtete, es möge seine neue Freiheit nicht mißbrauchen. Es war nicht die einzige Mahnung. In Briefen an die Bischöfe, in Botschaften und Erklärungen hat der Heilige Vater seither immer wieder das Unrecht angeprangert, das an den Millionen deutscher Vertriebener begangen wurde.

„My, Niemcy sudeccy, wiemy, że papież był przeciwny wysiedleniu nas. Wiemy, że w okropnym czasie wysiedlenia wystosował za pośrednictwem arcybiskupa Berana surowe napomnienie do narodu czeskiego, by nie nadużywał swej wolności. Nie było to jedyne napomnienie. W listach do biskupów, w oświadczeniach i wypowiedziach papież raz po raz piętnował krzywdę, wyrządzoną milionom wysiedlonych Niemców“.

Szkoda, że papież nie był równie wrażliwy na los wysiedleńców, gdy miliony Polaków i Czechów wypędził z ich siedzib Hitler

115 LAT PRACY NAD PRZEKŁADEM „EUGENIUSZA ONIEGINA“

W tym 1952, który właśnie szczęśliwie minął, nie nudziłyśmy się w literaturze. Było sporo ożywionych dyskusji, sporów nawet. Kilka ciekawych, wcale pięknych książek wzbogaciło podreżną bibliotekę. Na progu roku nowego, kiedy się wszystko mimo woli inwentaryzuje i zamyka, wielu ma stary, konkursowy zwyczaj zapytywać o najciekawsze wydarzenia literatury, o najpiękniejszą książkę. Ja także.

O niej właśnie zdań kilka pragnę skreślić.

„Eugeniusz Oniegin“ to stara już miłość zakochanych w literaturze. Poemat Puszkina, któremu nie wie o tym, należy do największych arcydzieł poezji światowej. W literaturze rosyjskiej ma rangę narodowego poematu. Wokół losów Eugeniusza i Tatiany — Puszkina roznosił się epoki, jej zwyczajów, gustów, zamiłowań. Ileż pokoleń wzruszyło się miłością i szczerością Tatiany, oschłością i namiętnością Eugeniusza... Ta opowieść romantyczna zachowała do dziś cały blask, którego jej Puszkina użył. Genialny poeta stworzył arcydzieło prostoty i kunsztu zarazem, wznosił mowę rosyjską na takie wyżyny, na jakie Mickiewicz wprowadził mowę polską.

Wszystko to wiemy nie od wczoraj. Zapewne. Sława poematu Puszkina docierała do nas różnymi drogami. Biła bezpośrednio z oryginału. Biła też, może skuteczniej nawet, z przysłówiowych niemal trudności przełożenia go na język polski. Iluż to prób już nie czyniono! Marian Toporowski, autor zachwycającej pracowitością i źródłowością książki „Puszkina w Polsce“, zdaje szczegółowo sprawę z tych wysiłków. Pierwszy przekład (częściowy) Benedykta Dołęgi ukazuje się już w 1837 roku, w roku śmierci Puszkina. W 10 lat później nieudolnie próbuje przełożyć całość Adam Sikorski. Leo Belmont, który w 1902 roku dał nam przekład Oniegina (uzupełniony i poprawiony w 1925) jest już ósmym tłumaczem z kolei. Po wojnie poznaliśmy trzy książki „Oniegina“ w przekładzie świetnego poety i znakomitego tłumacza Puszkina, Juliana Tuwima.

Aż wreszcie, dosłownie po stu piętnastu latach pracy kilku pokoleń, otrzymaliśmy całe arcydzieło Puszkina w polskiej szacie. W przekładzie Adama Ważyka.

Ta długa droga do polskiego Oniegina tłumaczy już skalę wydarzenia. Tłumaczy tym bardziej, że Ważyk swoją pracę musiał zacząć od nowa, od wyzwolenia się z sugestii poprzedników, od przewyciężenia także narosłych już przecięt grzechów. A że nie były bynajmniej poważniejsze.

Przypomnę, na tak zwany „wazelki wypadek“, czym jest sztuka przekładu poetyckiego. Pracę nad przekładem utworu poetyckiego można porównać jedynie z pracą nad przekładem utworu prozatorskiego. Z niczym innym. Przełożyć powieść nawet tysiącstronicową może praktycznie każdy, kto zna swój język własny (a to co prawda nie takie proste), język oryginału, oraz posiada gruby słownik (im grubszy tym lepszy). Ewentualnie przy rozwiązaniu większych trudności pomoże mu rodzina.

Utwór poetycki natomiast... Trzeba umieć poznać piękno tego utworu. To brzmi banalnie, ale to nie jest banalne. Trzeba umieć do piękna oddać własnymi słowami. To także nie jest banalne. Nie słowo po słowie przy pomocy słownika. Ale obraz po obrazie w takim doborze słów, by zachowana została przejrzystość myśli, wierność wzruszenia, czystość dźwięku itd. Cóż dopiero mówić o poemacie liczącym przeszło 5000 wierszy, poemacie bogatym myślowo i wzruszeniowo, napisanym w formie precyzyjnych czterestopówiarskich strof? Dochodzi jeszcze i ta trudność, że język oryginału niezwykle bogaty, urozmaicony akcentacją, jest nie do naśladowania w mowie polskiej. W języku rosyjskim np. istnieje bardzo wiele słów akcentowanych na ostatniej sylabie, w języku polskim jest ich niewiele, zaledwie kilkaset (wyrazy jednosylabowe) i zastawalność rymów męskich (praktycznie: jednosylabowych) jest niemal niemożliwa.

Czterestopówiarsza strofa Oniegina posiada 8 rymów męskich, ale ze względu na właściwości języka rosyjskiego jest w oryginalnej lekka i potoczna, prosta i elegancka. Jaki kształt należy jej nadać w języku polskim? Oddana mechanicznie, naturalistycznie, z powtórzeniem 8 rymów męskich będzie podobna dźwiękowo do oryginału, to prawda. Ale nie będzie miała nic z owej przysłowiowej już lekkości i potoczności oryginału. Cechą jej stanie się sztuczność. Taka właśnie, jaka cechowała „Oniegina“ w przekładzie Belmonta.

Tłumacząc „Eugeniusza Oniegina“ Ważyk sięgnął po wzory do narodowej tradycji naszej poezji. Dla strofy puszkiniowskiej stworzył odpowiednik polski, który zachowuje lekkość, potoczność i elegancję oryginału. Unikanie rymów męskich (jedna tylko para tych rymów została zachowana) pozwala na swobodę i wierność zarazem. Tok wiersza jest nieprzymuszony, obraz i aluzje poetyckie oddane bez zarzutu. Po raz pierwszy po 115 latach możemy arcydzieło Puszkina ocenić i słuszną sławę, którą „Eugeniusz Oniegin“ posiada, własnymi oczami sprawdzić.

Polski przekład „Eugeniusza Oniegina“ ze względu na swoją wysoką wartość, ze względu na piękno poematu Puszkina, ze względu na narodową potrzebę naszą życia się z wielką literaturą rosyjską jest wydarzeniem bez precedensu w naszej literaturze powojennej.

ZBIGNIEW BIENKOWSKI

TEATR ŚWIAT

DYREKCJA: JAN SZELĄG

DEKORACJE I KOSTIUMY: HA-GA

Bela Gador.

(z węgierskiego tłumaczył: T. Fangrat)

LINCZ

Rzecz dzieje się w jednym z prowincjonalnych komisariatów policji na terenie USA.

JOE (pijany przodownik policji pędzi przed sobą dwóch ludzi w maskach): Jazda naprzód, chłopaczki, jazda...



Panie komisarzy, melduję, że przyprowadziłem tych dwóch podejrzanych ptaszków. O godzinie pół do dziewiątej czaili się w Parku Lincolna. Kiedy ich zatrzymałem nie chcieli zdjąć masek. Wobec tego przyprowadziłem ich tutaj.

KOMISARZ (poważny starszy mężczyzna): Joe, pan znówu pił na służbie? Proszę przyjąć do wiadomości, że nie będę tolerował tego stanu rzeczy. Nie wolno narażać na szwank autorytetu naszej policji... Niech pan się położy i po wytrzeźwieniu zgłosi się do mnie z raportem.

JOE: Tak jest. (odchodzi).

KOMISARZ: Jeśli się nie mylę, panowie należą do Ku-Klux Klanu. Prześladowacie Murzynów i ochotniczo wykonujecie na nich wyroki. A przecież tego nasze prawo zabrania.

TYP 1: Wiemy, panie komisarzy! (z wściekłością) Ale my nie ścierpimy, ażeby parszywy Murzyn...

KOMISARZ: Nasza konstytucja nie uznaje różnic między białymi a czarnymi. Nazwisko?



TYP 1: William Findley, właściciel miejscowego browaru.

TYP 2: Jestem Robert Steel, dyrektor kasy oszczędnościowej. Ten nędzny Murzyn od kilku tygodni paradytuje na ulicy z białą kobietą... My tego nie ścierpimy. Jesteśmy obywatelami wolnej Ameryki.

KOMISARZ: A co panowie robili w tych strojach o pół do dziewiątej w Parku Lincolna?

TYP 1: Przyszliśmy na spotkanie z naszymi kolegami. KOMISARZ (surowo): Słowem chcieliście zlinczować Murzyna?

TYP 1: Tak jest. Wcale nie zaprzeczam.

KOMISARZ: O której godzinie mieliście to zrobić?

TYP 1: Punktualnie o dziewiątej. O tej porze Murzyn wraca z pracy.

KOMISARZ: Punktualnie o dziewiątej (patrzy na zegarek). Teraz jest za dziesięć minut dziewiąta (zmienionym tonem). Spieszmy się panowie, bo się spóźnimy!

KURTyna

KONKURS LITERACKI

Zarząd Główny Ligi Kobiet, Spółdzielnia Wydawnicza „Czytelnik”, oraz tygodnik „Przyjaciółka” ogłaszają otwarty konkurs na utwór literacki prozą (powieść, nowela, opowiadanie, reportaż, pamiętnik) o życiu i pracy kobiety. Temat obejmować może okres rządów kapitalistycznych, okres okupacji i współczesny. W konkursie mogą wziąć udział wszyscy, zarówno kobiety jak i mężczyźni. Na konkurs nadsyłać można utwory nie ogłoszone dotychczas ani drukiem ani przez radio. Maszynopisy lub bardzo czytelne rękopisy opatrzone godłem i uwagą „Konkurs kobiecy” należy nadsyłać do Zarządu Głównego Ligi Kobiet, Warszawa, ul. Elekoralna 13. Wraz z maszynopisem lub rękopisem należy nadsłać w zamkniętej kopercie, opatrzonej godłem, nazwisko i imię oraz dokładny adres.

Termin nadsyłania prac upływa 1 czerwca 1953 r. Wynik konkursu ogłoszony będzie do dnia 1.X.1953 r.

Przewiduje się następujące nagrody:

- 1 nagroda — 5 tys. zł.
- 2 „ — 5 tys. zł.
- 3 „ — 2 tys. zł.
- 4 „ — księgozbiór złożony ze 100 książek
- 5 „ — księgozbiór złożony z 50 książek.

Spółdzielnia Wydawnicza „Czytelnik” i „Przyjaciółka” zastrzegają sobie pierwszeństwo publikacji nadesłanych prac, które niezależnie od nagród honorowane będą zgodnie z umową autorską.

W skład sądu konkursowego wejdą przedstawiciele Związku Literatów Polskich, Zarządu Głównego Ligi Kobiet, Spółdz. Wyd. „Czytelnik” i Redakcji „Przyjaciółka”.

WŁODZIMIERZ BORUŃSKI

LIST STAMTĄD

Droga Lolu! Ach, ach, jestem chora,
(Ciocia Dolly ukłony ci śle)
Nasze radio podało przedwczoraj..
Nic nam nie pisz i tak wiemy, że:

Przed sklepami zniknęły kolejki,
Na ulicach nie wolno stać!!!
Ceny stałe! Czuwają jaczeyki,
żeby nikt nie mógł więcej brać.

Ludzie żyją o chlebie i wodzie,
A i tego niekiedy im brak...
Produktami zarządza Czarodziej —
Przepotężny Uniwer-Mag.

Chodzą pieszo i duzi i mali,
Brak tramwajów, brak koni i aut,
W Polsce tylko dwaj ludzie dostali
Samochody: Markiewka i Błaut.

Droga Lolu! Co słysząc w „Kopciuszku”?
Chodź tam, baw się, ze smutku się lecz!
(Ciocia Dolly dziś leży w łóżku:
Coca-Cola to dobra rzecz!)

Drodzy Czytelnicy!

Nasz apel skierowany do Was w numerze świątecznym o nadsyłanie uwag na temat poszczególnych działów naszego tygodnika — przyniósł nader obfity plon. Niektóre zmiany, słusznie zaproponowane przez Czytelników „ŚWIATA”, wprowadzone będą już w najbliższym czasie. Dzisiaj, dla pobieżnego chociażby przedstawienia rodzaju przesłanych spostrzeżeń i życzeń, przytoczymy kilka wyjątków z nadesłanej ostatnio korespondencji.

Mieczysław Boleński z Gdańska chciałby widzieć na łamach naszego pisma dział „Rozmaitości ze świata”, nadsyłając nawet własny materiał, abyśmy mogli zorientować się, o jakie pozycje upomina się w tym dziale.

Niestety, propozycja ob. Boleńskiego nie jest dostatecznie rozwinięta i umotywowana, a przykład, jaki podaje, ma już swoje miejsce w istniejącym dziale „Przez lupę i lunetę”.

Ob. St. Mariańskiemu z Poznania dziękujemy za miłe słowa uznania i życzliwą ocenę naszej pracy. Ob. Mariański pisze ponadto: „Zastosowanie w świątecznym numerze „Świata” drugiego koloru (niebieskiego) było dla mnie miłą niespodzianką, a sądzę, że dla ogólnego wyglądu tygodnika miało dość poważne znaczenie. Sądzę, że będę wyrazicielem życzeń również i innych Czytelników, jeśli skieruję pod Waszym adresem następującą prośbę: Stosujcie oba kolory w każdym numerze”.

Propozycję ob. Mariańskiego postaramy się zrealizować, gdy tylko pozwolą na to warunki techniczne drukarni.

A oto wyjątek z listu ob. T. Krajewskiego z Warszawy, który rozpatrując szereg spraw dotyczących tematyki „Świata”, pisze m. inn.:

„Oczywiście bardzo interesujące są wiadomości z zagranicy, reportaże i artykuły, ale nie mniej ciekawe, a często dla Czytelników bardziej interesujące są sprawy krajowe, jeśli można je w dodatku zilustrować fotograficznie. To byłaby raczej uwaga ogólna. Chodzi mi jednak konkretnie o tematy codzienne, bliższe każdej rodzinie, każdemu obywatelowi. Cenię tzw. wielki reportaż, chętnie go czytam, bo dowiaduję się o wspaniałych naszych budowach, o ambitnych osiągnięciach. Ale chciałbym również wiedzieć, jak żyje, co myśli, jak spędza wolny od pracy czas ten czy inny robotnik, poznać jego dom, rodzinę. Słowem, przy Waszych możliwościach w dziedzinie fotoreportażowej za mało zbliżacie kamerę do spraw codziennych, do potocznego, ale jakżeż innego, niż przed wojną, i nowe zapowiadającego życia”.

Rozumiemy słuszną intencję tego życzenia i doceniamy jego wagę w naszej pracy. Sądźmy, że uda nam się zrealizować wspomniany przez ob. Krajewskiego typ reportażu.

Projekt ob. A. Witkowskiego w sprawie zamieszczania dwujęzycznych tekstów piosenek, poddany będzie rozważeniu kolegium redakcyjnego.

„ŚWIAT”

LENGREN



— Polskie Radio?...
Proszę o tego pana od gimnastyki porannej!...

SWIAT

TYGODNIK ILUSTROWANY
Redaguje Komitet
Wydawca: R.S.W. „PRASA”

Redakcja: Warszawa, Nowy świat 58. Telefony: Red. Naczelny: 6-10-69. Centrala 6-11-81, 6-12-88. Administracja: Warszawa, Wiejska 12, tel. 7-52-50. Prenumerata miesięczna zł 4.80, kwartalna zł 14.40, półroczna zł 28.80, roczna zł 57.60.

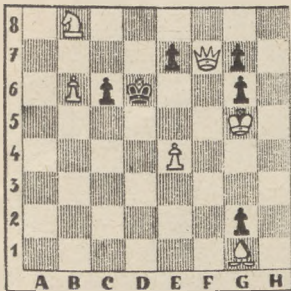
Zakłady Wkłodrukowe i Introligatorskie RSW „Prasa”
Warszawa, Okopowa 58/72.

Zam. 6. Papier rotogr. V/80-82 cm. — 4-B-10640

SZACHY

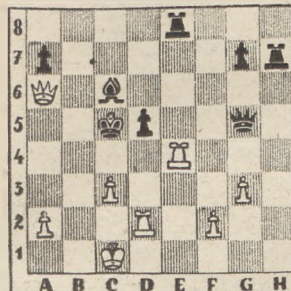
ZADANIE A73

W. MALIJ



Mat w 2 posunięciach

ZADANIE B74



Jest to pozycja z partii Prins — Janowsky. Białe zamatawały przeciwnika. Jak?

PARTIA NR 48

grana podczas XX championatu ZSRR

Obrona Caro — Kann

Białe: Keres

Czarne: Lipnicki

1. e2—e4 c7—c6. 2. Sb1—c3 d7—d5 3. Sg1—f3 Sg8—f6 4. e4—e5 Sf6—d7.

Niespotykane posunięcie. Normalnie grają

4...Se4

5. e5—e6!

Za pomocą ofiary piona białe przeszkadzają rozwojowi czarnych figur i osłabiają ich królewskie skrzydło.

5...f7:e6 6. d2—d4 e6—e5!

Czarne zawsze oddają piona, co jest słuszną decyzją.

7. Sf3—g5?!

Po 7. d:e5 gra byłaby mniej więcej równa. Keres jednakże z powodu fatalnego swojego położenia w turnieju chce za wszelką cenę wygrać, szuka więc komplikacji.

7...e5—d4 8. Sg5—e6 Hd8—b6 9. Gc1—f4 d4:c3 10. Gf1—d3.

Z groźbą 11. Hh5+.

10...Sd7—f6 11. Se6—c7+ Ke8—f7 12. 0—0 Sb8—d7 13. Sc7:a8 Hb6—b4 14. Gf4—e3 c3:b2 15. Wa1—b1 e7—e6.

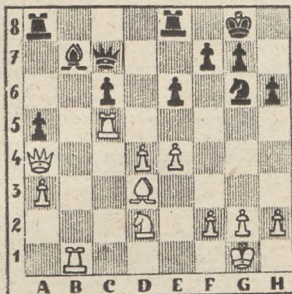
MECZ SZACHOWY

„Świat” — Czytelnicy

W odpowiedziach na 23 posunięcia Redakcji byli Czytelnicy zgodni tylko w partiach W 201 i W 21. Natomiast w partii W 1 głosy Czytelników rozproszyły się między 10, a w partii W 200 między 8 różnych posunięć.

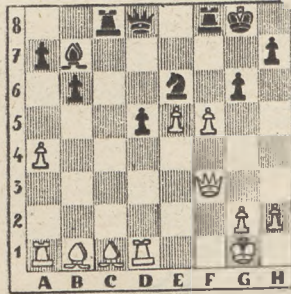
W partii W 1 przeszło Hd8—c7 (50,8% głosów) przed Wa8—a7 (36,2%). W partii W 200 najwięcej głosów uzyskało posunięcie Sc7—e6 (42,3%) przed Hd8—d7 (21,4%). W partii W 201 wybrali Czytelnicy Wc8:c1+ (68,3%) przed Hd8—h4. Wreszcie w partii W 21 zdecydowaną większość głosów uzyskał ruch Kg8—h7 (79,5%). Po uwzględnieniu kolejnego posunięcia Redakcji nasze partie wyglądają następująco:

PARTIA W1



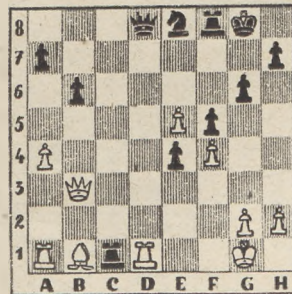
22. b2:a3 Se7—g6
23. Wf1—b1 Hd8—c7
24. Sf3—d2

PARTIA W200



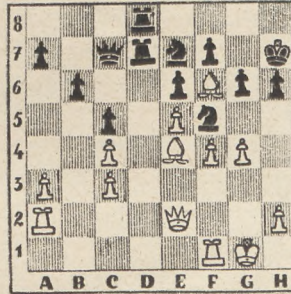
22. Gb1:e4 Se8—c7
23. Ge4—b1 Sc7—e6
24. f4—f5.

PARTIA W201



22. Hf3—b3+ Gb7—d5
23. Wd1:d5 Wc8:c1+
24. Wd5—d1+

PARTIA W21



22. Wa1—a2 h7—h6
23. Gg5—f6 Kg8—h7
24. g2—g4

Przypominamy, że odpowiedzi na 24 posunięcia Redakcji należy wysłać najpóźniej we wtorek, 20 stycznia b.r.

Okazało się, że atak białych utknął, a czarne mają wyraźną przewagę materialną i pozycyjną.

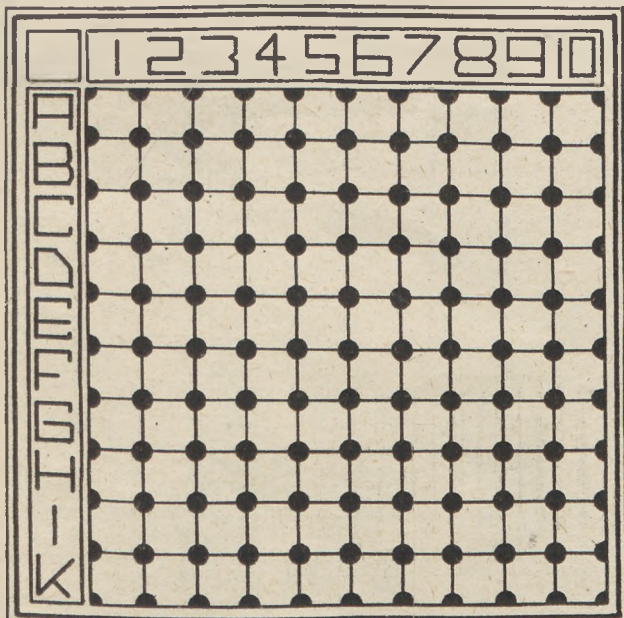
16. c2—c4 d5—d4 17. Ge3—d2 Hb4—d6 18. Wb1:b2 Hd6—b8 19. Wf1—e1 Sd7—c5 20. Gd2—g5 Sc5:d3 21. Hd1:d3 Hb8:a8 22. We1:e5 h7—h6 23. Gg5—f6 g7:f6 24. We5—e1 b7—b6 25. Hd3—e2 Gc8—f5 26. Wb2—b3 d4—d3? 27. Wb3:d3! Ha8—c8. Po 27... g:d3 28. He6+ Kg7 29. Hd7+ Kg8 30. We8 Gf5

31. He7 u białych pojawiały się nowe możliwości.

28. Wd3—f3 gf8—b4 29. We1—d1 Wh8—e8 30. He2—b2 gb4—c5 31. h2—h3 Hc8—e6 32. Hb2—d2 Kf7:g7 33. Hd2—f4 gf5—g6 34. Wf3—g3 We8—c7 35. Wd1—d8 We7—d7 36. Wg3:g6+ Kg7:g6 37. Hf4—g3+ Kg6—h7. I po wykonaniu jeszcze dwóch posunięć białe poddały się. Trzeba dodać, że końcowa część partii była rozgrywana w silnym niedoczasie.

ROZRYWKI UMYSŁOWE

KRZYŻÓWKA



Poziomo: A-1) Cienka przezroczysta tkanina, A-8) Głos męski, B-1) Roślina czczona przez starożytnych Egipcjan, B-6) Ozdobne kwiaty, C-1) W mitologii greckiej: bóg miłości, C-5) Wykładowca obcych języków, D-1) Symbol pracy

aktorskiej, D-6) Inaczej: ofiaruje, D-8) Część twarzy, E-1) Mieszkaniec dalekiej północy, E-8) Roślina o jadalnych nasionach, F-1) Dopływ Warty, F-4) Miasto portowe we Francji, F-9) Zaimek wskazujący, G-1) Łódź zbita z desek, G-7)

Pierwiastek chemiczny, H-1) Podziałka mapy, H-6) Czerwona narośl na szyi niektórych ptaków, I-1) Towarzysz, I-7) Miasto w Maroku, K-1) Spójnik, K-2) Samobójca, K-7) Papiery urzędowe.

Pionowo: 1-A) Część składowa, 1-H) „Narty” w jez. obcym, 2-A) Pięcioksiąg praw Mojżeszowych, 2-E) Produkt mleczny, 2-H) Zbiór znaków, 3-A) Jeden z „Trzech muszkieterów”, 3-E) Odlam lodu, 3-H) Przysłówek, 4-A) Owad krajowy tropikalnych, 4-G) Jeden ze składników powietrza, 5-A) Religia wschodnia, 5-F) Skupienie, 6-A) Bieda, niepowodzenie, 6-H) Oprawca, 7-A) Statek Noego, 7-E) Jeden z dni tygodnia, 8-A) Miasto w Polsce, 8-F) Skrót spotykany w wykazach, 8-H) Skrupiać jadalny, 9-A) Wybitna jednostka, 9-C) Dopływ Wołgi, 9-F) Wzniesienie zdrowia w czasie uroczystości, 10-A) Pseudonim poety polskiego (1822—62), 10-K) Spójnik.

(E. F. — Bochnia)

Rozwiązania należy nadsyłać w terminie 10-dniowym od daty ukazania się numeru pod adresem redakcji z dopiskiem na kopercie „Rozrywki umysłowe”. Wśród Czytelników, którzy nadesłali prawidłowe rozwiązania, rozlosowanych zostanie

20 nagród książkowych.



TANIO i ŁADNIE

Po „karnawale” poprzedniego odcinka naszego działu, wracamy do dnia powszedniego: dzisiejsze modele są już przeznaczone na użytek codzienny.

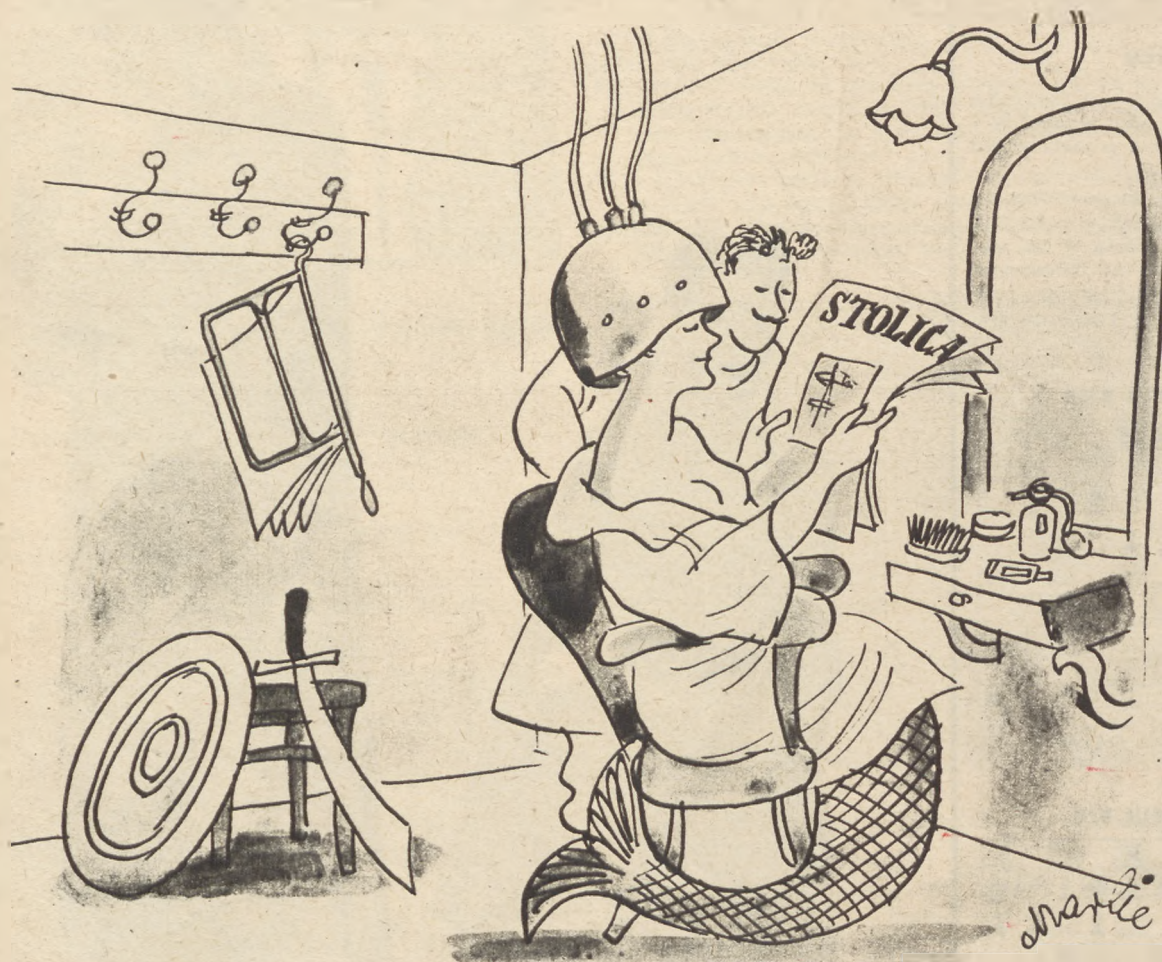
Pierwszy u góry, to tzw. wizytowa suknia z niebieskiej welenki. Bez dekoltu, rękaw trzyćwierciowy i bardzo kloszowy dół. Oczywiście służyć nam będzie nie tylko na wizytach, ale do teatru i w wielu innych bardziej „uroczystych” sytuacjach.

Obok — płaszcz jesienno — zimowo — wiosenny o bardzo prostym kroju i dlatego właśnie elegancki.

U dołu: sweter zimowy, bardzo praktyczny i ładny



WIADOMO, STOLICA...



Rys. Charlie

Wielka toaleta przed rocznicą wyzwolenia Warszawy

PARK
KULTURY
nad
Wisła



Rys. Szymon Kobyliński

— Czy tedy pan krążył, panie Wokulski?



Rys. Szymon Kobyliński

— A co! Szybko budujemy stolicę, he?



Rys. Zbigniew Kiulin

— Nasze domy otrzymują piękne fasady;
a propos, czy mogłaby mi pani polecić jakiś
zakład kosmetyczny?...



JANTAR

Rys. Jantar

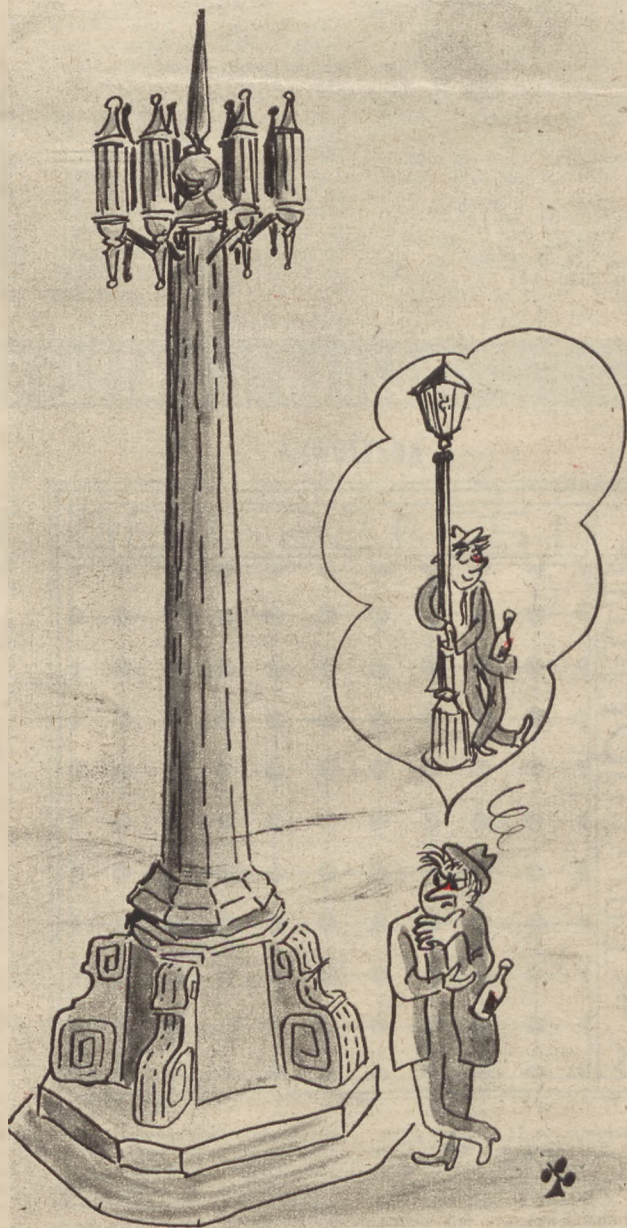
Sen dyrektora z MPOM.



Rys. Ciszewski

Rozporządzeniem władz, lokatorzy mają pomagać do-
zorcom w usuwaniu większych opadów śnieżnych.

Dozorca — Jak policzę do stu, żeby mi ani od-
robina śniegu tu nie została!



Rys. Zbigniew Kiulin

— O nas nie pomyśleli.



Rys. Szymon Kobyliński

— A może pan jest poinformowany, kie-
dy ruszy pierwszy wagon metro?